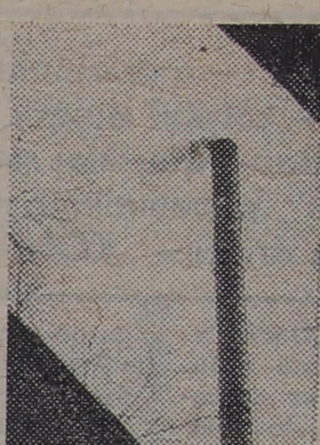


3
uczeni
mężowie
u stóp
szklanej
góry



4-5
pogoń za
szczęśliwą
gwiazdą



11
krokodyły
i trucieli



14
przewalanka



16
potęga
rozsądku

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

35

(111)

KONTAKTY
28 XI 1982
Cena 12 zł



Fot. GABOR LORINCZY

**zaczarowany
krąg
niemocy**

**DANUTA I ALEKSANDER
WRONISZEWSKY**

„Chłop nie jest już dziś taki głupi” — to stwierdzenie można usłyszeć z różnych ust i w różnych tonacjach. Chłop nigdy nie był „taki głupi”, choć oświata rolnicza u nas kulała zawsze. Dzisiaj też nie ma specjalnych powodów do zachwycania się nią. Niejedno jeszcze porównanie przedwojennej kultury rolnej w Poznańskim z obecną w Łomżyńskim wypada zdecydowanie na korzyść pierwszej.

POCZET ZNACHORÓW
POLSKICH

**góry oliwne
uzdrowiciela**

ADAM JERZY SOCHA

biała magia

Już przed 16.00, przed końcem przerwy, przy drzwiach stoi spory tłumek oczekujących na „kuku”, jak Kacmajor określa przykładanie palców do czoła chorego. Rozpoczyna się uzdrawianie, a ja — z kosmicznym chaosem w głowie — wyruszam na spotkanie z człowiekiem STAMTAD, który para się radiestezją i zgodził się wprowadzić dyletanta w świat bioelektromagnetyzmu; świat, do którego drzwi były dla mnie dotąd naглуcho zamknięte. Wyjeżdżamy za rogatki miasta, na polną, zaślóconą liśćmi, drogę. Nagle zapada zmrok i stajemy u progu drogi mlecznej, usianej gwiazdnym pyłem. Gdy wracamy z powrotem na polny trakt, wskrzeszanie zmarłych, leczenie i zabijanie na odległość, chodzenie po ogniu i wodzie, nie jest już dla mnie domeną iluzjonistów. Największą tajemnicę stanowi to, że nie ma tajemnicy. Zupełnie innymi oczyma patrzę teraz na owo „kukanie”.

Chorzy, oczekujący na swoją kolej, przyjmują moje bezceremonialne wtargnięcie do mieszkania uzdrowiciela z nieprzychylnym pomrukiem. Na taborecie siedzi 70-letni staruszek z Ciechanowca.

— Astma męczy ci? Proszki pan brał, tak? — wypytuje, trzymając palce na czole pacjenta, mistrz.

— Tak, troszeczkę — przyznaje dziadek.

— Z początku pomagało, a później było jeszcze gorzej. Ręce bołą?

— I nogi — odpowiada dziadek.

— Wapna za dużo w organizmie. Będzie pan wypłukał przez pewien czas, niech się pan nie przestraszy. Nooo, wszystko będzie dobrze.

CIĄG DALSZY NA STR. 8—9

str 6-7

W NASTĘPNYM NUMERZE: „Pojedynek w malinach” – o działaniu przedsiębiorstw ubrojonych w reformowe rewolwery, „Chłopożery” – artykuł dający odprawę sądom o pazerności rolników, „Daj mi śmierć lekką” – reportaż o wiejskiej rodzinie. Także: „Tako rzecz mistrz” – z cyklu „Poczet znachorów polskich”, wspomnienia maratończyka, ciekawostki z przeszłości Wysokiego Mazowieckiego i dla dzieci – „KONTAKCIKI”.

„WIES PRZYJMOWAŁA Z NADZIEJĄ Wytyczne w sprawie węzłowych problemów polityki rolnej, rolnictwa i gospodarki żywnościowej, ale na horyzoncie „zielonego światła nadal nie ma” – powiedział Stanisław Murawski z gminy Boguty. Czy taki osąd można przenieść i uogólnić w stosunku do wszystkich wsi łomżyńskich – zastanawiali się członkowie Egzekutywy wojewódzkiej instancji partyjnej i Prezydium WK ZSL. Obradom przewodniczył prezes łomżyńskich ludowców Czesław Gartych. Wytyczne realizuje się od stycznia 1981 r. Obowiązujące akty prawne, umożliwiające swobodniejszy obrót ziemią, spowodowały w województwie zwiększenie średniej powierzchni gospodarstwa. Żywsze zainteresowanie gospodarką żywnościową doprowadziło do poprawy proporcji nakładów na rolnictwo w stosunku do innych dziedzin. Choć wciąż ogólna ich suma jest daleka od oczekiwań. Mimo kryzysu nie słyszy się narzekania na zaopatrzenie w węgiel, tak powszechnych jeszcze w ubiegłym roku. Występuje nawet pozorny nadmiar nawozów sztucznych (zjawisko to wymaga szczególnej uwagi, bowiem łomżyński poziom nawożenia odbiega od krajowych średnich statystycznych). Województwo, nie oglądając się na wielki przemysł, szuka własnych dróg uruchomienia produkcji narzędzi rolniczych.

W odczuciu ZSL-owskiej organizacji istnieje potrzeba, by inaczej spojrzeć na deklarowane w Wytycznych zapowiedzi. Niektóre z nich, mimo najszerszych chęci, nie mogą być w najbliższym czasie zrealizowane. Np. szybka likwidacja rażących dysproporcji w poziomie rozwoju produkcji rolnej pomiędzy poszczególnymi gminami. Cała rzecz w tym, by w warunkach kryzysu nie dopuścić do dalszego regresu produkcji żywności na wsi. Postępujący wzrost cen środków produkcji rolnej, artykułów przemysłowych może również spowodować osłabienie zainteresowania produkcją rolniczą.

Jak przeciwdziałać tym niekorzystnym zjawiskom? – oto pytanie, na które jak najszybciej trzeba znaleźć odpowiedź. I w Łomży Prezydium WK ZSL i Egzekutywa KW PZPR zaleciły uwzględnienie uwag, wniosków i propozycji wsi w projekcie „Podstawowych założeń społeczno-gospodarczego rozwoju województwa łomżyńskiego w latach 83–85” i we wsiach, gminach (rzetelniej wykorzystywanie istniejących możliwości aktywizacji produkcji rolniczej).

PLENUM KW PZPR odbędzie się 8 grudnia br. Temat obrad – zadania wojewódzkiej organizacji partyjnej, wynikające z uchwały X Plenum KC PZPR oraz zatwierdzenie sprawozdania na Wojewódzką Konferencję Sprawozdawczo-Programową PZPR.

NA KOLEJNYM POSIEDZENIU Wojewódzkiego Komitetu Obrony w Łomży oceniono przygotowania jednostek transportowych i drogowych do zimy oraz realizację ustaleń dotyczących eliminowania strat w transporcie. Zarówno transport jak i drogi – stwierdzono – są lepiej przygotowane niż w roku ubiegłym. Należy jednak zwrócić uwagę dozorowi jednostek transportowych, by energiczniej zajęły się zaopatrzeniem pracowników w obuwie i odzież ochronną oraz skuteczniej egzekwowały od dostawców należne ilości akumulatorów i ogumienia do samochodów.

ZAKŁADOWE KONFERENCJE Sprawozdawczo-Programowe w ŁZPB „Narew” i KW MO odbyły się z udziałem pierwszego sekretarza KW PZPR, Włodzimierza Michałuka. W „Narwi” omawiano sprawy organizacyjne i zaopatrzenia rynku; w KW MO dyskutowano nad doskonaleniem metod pracy partyjnej wśród młodych funkcjonariuszy MO oraz skuteczniejszą walką z anomaliami życia społecznego.

Z PRZYJACIELSKĄ WIZYTĄ przebywał w Łomży ambasador Socjalistycznej Republiki Rumunii, Ion Cozina i sekretarz ambasady, Ilie Ivan. Spotkali się z gospodarzami województwa i zwiedzili Muzeum Regionalne oraz ŁZPB „Narew”.

PAŹDZIERNIK W ŁOMŻYŃSKIEJ STATYSTYCE. Mimo notowanego od września 9,5 proc. wzrostu produkcji sprzedana w jednostkach przemysłu uspołecznionego była mniejsza niż rok temu. Korzystniejsze wyniki osiągają zakłady przemysłu drobnego, w których nastąpił wzrost wartości sprzedaży o 11,3 proc. Wpłynęło na to zwiększenie wydajności pracy (o 13,8 proc.) oraz spadek zatrudnienia (o 2,2 proc.), w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy. ▲ W październiku utrzymał się wzrost skupu 4 zbóż oraz żywca wołowego i wieprzowego, zmniejszył się natomiast skup mleka (o 0,3 proc.). W porównaniu z analogicznym okresem ub. roku niepokojąco wygląda skup jaj (spadek o 58,1 proc.). ▲ Zmniejszyła się sprzedaż pasz przemysłowych i o 10 proc. niższy był wykup nawozów sztucznych. Niekorzystne tendencje odnotowano w produkcji zwierzęcej. Rolnicy sprzedają więcej macior. W analizowanym miesiącu ich dostawy wzrosły, w stosunku do ubiegłego roku, o przeszło 217 proc. W ogólnym skupie trzody chlewnej maciorzy stanowiły 16,5 proc. Tak wysokiego udziału nie notowano w żadnym miesiącu br. Więcej krów niż w ubiegłym roku oddają gospodarze do punktów skupu (w ogólnym skupie była krowy stanowiły 46,3 proc.). Niepokojąco spadły ceny zwierząt gospodarskich. Cena prosiąt na chów zmniejszyła się o 53,5 proc. ▲ W uspołecznionym budownictwie mieszkaniowym oddano w województwie do użytku 2 budynki o 97 mieszkańach. Jakość mieszkań w przeważającej większości oceniono dostatecznie. Wśród 22 budynków oddanych w tym roku tylko 5 zaskładało na dobrą ocenę. Bardzo dobrych w ogóle nie odnotowano.

▲ W ciągu trzech kwartałów przekazano do użytku sieć wodociągowa w Kupiskach Starych, Przeździecko-Mroczkach, w Łomży przy ul. Sikorskiego; magistralę wodociągową w Grajewie, kanał sanitarno-deszczowy w Łomży przy ul. Gwardii Ludowej, piekarnię GS w Nowogrodzie, magazyn wyrobów gotowych Zakładu Remontowo-Montażowego w Grajewie; przy Zambrowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego oddano przychodnię o 10 gabinetach i rozpoczęto budowę przychodni rejonowej w Kolnie o 12 gabinetach. ▲ Według stanu na dzień 25 października na Łomżan czekało 830 wolnych miejsc pracy, w tym na kobiety – 279. Ilość zarejestrowanych poszukujących pracy wynosiła 264 osoby. Na jedną osobę więc przypadało w październiku 3,1 wolnych miejsc pracy, na kobietę – 2,1. Według danych Wydziału Zatrudnienia i Spraw Socjalnych UW od początku roku spośród 2885 osób, skierowano do obowiązkowej pracy 2624 osoby. ▲ Zaopatrzenie rynku (ostatnie trzy kwartały) prawie we wszystkich grupach było niższe niż w tym samym okresie ub. r. Dobrze natomiast zaopatrzono sklepy w cukier, przetwory zbożowe, makaron i mąkę. Pogorszyło się znacznie zaopatrzenie w tkaniny wełniane (spadek o 64,8 proc.), lniane i konopne, odbiorniki telewizyjne (o 45,4 proc.). Sytuację rynkową obrazuje wartość sprzedaży w WPHW w branży włókienniczej, odzieżowej, obuwniczo-skórzanej, oraz foto- optycznej (dane z trzech kwartałów) jest niższa w stosunku do ubiegłego roku, choć ceny wzrosły. Zdecydowanie, poprawiło się zaopatrzenie w węgiel i koks. Od stycznia do września sprzedaż węgla wzrosła o 17,5 proc. (w kraju o 20,5 proc.), a koksu o 20,3 proc. W październiku zanotowano szybsze tempo wzrostu przychodów pieniężnych ludności niż wydatków. Zatem po kilkunastym okresie zahamowania wzrostu inflacji ponownie nastąpiło pogorszenie sytuacji pieniężno-rynkowej.

PROBLEMY WDRAŻANIA reformy gospodarczej: zasady wynagradzania reformy w Łomżyńskim były przedmiotem konferencji naukowej zorganizowanej przez Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa w Łomży.

ŻYWIENIU ZWIERZĄT poświęcono była konferencja naukowa zor-

ganizowana z inicjatywy Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii w Łomży oraz Sekcji Weterynaryjnej Łomżyńskiego Towarzystwa Naukowego im. Wagów. Omawiano m.in. wpływ na zwierzęta tzw. mikroelementów, sposoby wykorzystania pozostałości przemysłu rolno-spożywczego. Na spotkaniu ogłoszone zostały także wyniki współzawodnictwa pracy między państwowymi zakładami leczniczymi dla zwierząt za rok 1981. W kategorii leczenia specjalistycznych pierwsze miejsce zdobył PZLZ w Ciechanowie, którego pracami kieruje dr Jan Bondarenko, a najlepszą przychodnię okazała się – działająca przy PZLZ w Klukowie, a kierowana przez lek. wet. Zygmunta Dąbrowskiego; I miejsce w kategorii punktów weterynaryjnych zajął PZLZ Gać – kierowany przez lek. wet. Mariana Czerskiego. Natomiast proporzec Przechodni Wojewody Łomżyńskiego przekazano zespołowi pracowników PZLZ w Ciechanowie; grupę wyróżniających się udekorowano odznakami „Za Wzorową Pracę w Służbie Weterynarii” oraz „Zasłużony Pracownik Rolnictwa”.

PIERWSZA W WOJEWÓDZTWIE Nagrodę Naukową przyznał – kierownikowi Wojewódzkiego Weterynaryjnego Laboratorium w Łomży, dr. Mirosławowi Kleczkowskiemu – minister Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki.

UROCZYSTA SESJA ideologiczna, poświęcona obchodom setnej rocznicy powstania Ruchu Robotniczego, której organizatorem jest Zarząd Wojewódzki Ligi Kobiet Polskich w Łomży, odbędzie się 25 listopada w sali Klubu „Stale Zajęcie”. O udział kobiet w ruchu robotniczym wygłosi referat Aleksandra Klimaszewskiego.

W ZWIĄZKU Z PODEJRZENIEM, że Prezydent Łomży, Jerzy Nowelski naruszył prawo, Wojewoda Łomżyński zawiesił go w pełnieniu obowiązków służbowych do wyjaśnienia sprawy.

LUDZIE STARZY I CHORZY zostaną objęci opieką, którą organizuje Dział Służb Społecznych Wojewódzkiego Szpitala oraz Komenda Hufca ZHP. Harcerze legitymujący się zaświadczeniem, wydanym przez Dział Służb Społecznych, odwiedzą już starszych mieszkańców naszego miasta, służąc im pomocą.

NA 38 KONTROLI przeprowadzonych w dniach 15–19 listopada, tylko w siedmiu przypadkach brygady antyspekulacyjne wykryły nieprawidłowości w pracy placówek handlowych. W sklepie sportowym w Zambrowie ukryto np. kucharki turystyczne, butle gazowe, buty z żyłkami wartości 25.564 zł. Kierownik sklepu był od kilku dni na zwolnieniu lekarskim. Kilka dni wcześniej sprzedawczyni ze sklepu w Piekutach zapłaciła około 30 tys. zł kary za ukrycie towaru wartości 16 tys. zł (drzewiczki piecowe, wiadra).

JABŁKA OBRODZIŁY w tym roku i gorzelnie ciągną duże zyski z ich przerobu na alkohol. Znakiem idzie też produkcja win. Zakładowe magazyny przeładowane są pełnymi butelkami. Czyżby zapowiadało to zniesienie reglamentowanej sprzedaży tego wina?

KLUB PILOTÓW wycieczek zagranicznych Biura Turystyki „Juventur” działa od maja br. przy ZW ZSMP. Skupia 25-osobową grupę przewodników licencjonowanych, znających biegle języki: rosyjski, angielski, włoski, niemiecki, esnanto. Jak informuje prezes klubu, Elżbieta Kolasińska, celem działalności jest szkolenie i podnosze-

nie własnych kwalifikacji. Klubowicze z zapałem penetrują łomżyńskie szlaki, poznając miejsca i obiekty najciekawsze w województwie. Klub pilotów – w terenie są tylko trzy w kraju – utrzymuje kontakty z ludźmi, których owładnęła turystyczna pasja.

V SPOTKANIA lalkarzy-amatorów z klubów prasy i książki odbyły się 20 i 22 listopada w Białostockim Teatrze Lalek. Z naszego województwa wzięli w nich udział teatryki lalkowe z Dąbrówki Kościelnej, Słucza i Wojen-Szub. Pierwszy z nich ma szansę wystąpić na ogólnopolskich spotkaniach amatorskich.

PROPOZYCJE DOTYCZĄCE programu i planu pracy PRON oraz wszelkie sprawy interwencyjne można zgłaszać telefonicznie do przewodniczącego Tymczasowej Rady Wojewódzkiej: 20-70, sekretarza: 27-95 lub listownie pod adresem: Biuro Wojewódzkiej Rady Narodowej, 18-400 Łomża, ul. Nowa 2.

PO UKAZANIU SIĘ artykułu „Adiutant jego Biurokratyzmości” („Kontakty” nr 22 z 29 VIII 82 r.) Prokuratura Rejonowa w Łomży wszczęła postępowanie przygotowawcze w sprawie nadużyć dokonanych przez bohatera artykułu i inne osoby.

SPROSTOWANIE. W publikacji „Bezkrólewie” mylnie podałem informację, że „Biuletynu” zakładowego, która powinna brzmieć: „[...] 2,5-metrowa zasłona okienna „Cyprys”, po wypraniu w proszku, zmniejsza się o 45 centymetrów”. Stanisław Zieliński.

wieści gminne

CZYŻEW ◆ Gminna organizacja PZPR zakończyła kampanię sprawozdawczą. Członkowie KG zażądali od naczelnika opinii dotyczącej stopnia zaawansowania miejscowych inwestycji; postulowali uatrakcyjnienie szkolenia partyjnego. Do połowy listopada GS skupiła około 280 ton zboża (plan przewiduje 2 tys. ton). Od początku roku do połowy listopada gmina na piekarnia sprzedała 470 ton pieczywa. ◆ Opracowywana jest dokumentacja przystosowania bożnicy pożydowskiej na potrzeby Urzędu Gminy. ◆ Po miesięcznej przerwie znowu ruch na budowie ośrodka. Wznoszone jest drugie piętro. Mieszkańcy w czynnie społecznym nawieźli żwiru na podwyższenie terenu wokół ośrodka. ◆ Przy stacji kolejowej w Czyżewie ustawione zostały słupy trakcji elektrycznej; w Szulborzu instalowane są przewody. Kolejarze podtrzymują obietnicę, że na gwiazdkę z Czyżewa do Warszawy pojedzie pociąg elektryczny. ◆ Państwo Siennicy i Sekowscy otrzymali w ostatnią niedzielę medale za 50 lat zgodnego pożycia małżeńskiego. Gratulujemy.

NUR ◆ W gminnym ośrodku zdrowia zatrudniony został drugi lekarz stomatolog. Zajął mieszkanie po farmaceutce. ◆ Uruchomiona została nowa, prywatna piekarnia. Ale chleba jeszcze nie widać, bo piekarze nie przygotowali maki. ◆ Mieszkańcy gminy proszą o wzbogacenie działalności Ośrodka Kultury. Jest kino – z jednym seansem filmowym w tygodniu i klub, w którym nic ciekawego się nie dzieje. ◆ Przydałyby się koła zainteresowań, np. szachowe, brydżowe, spotkania z ciekawymi ludźmi. ◆ Rozpoczęła się długo oczekiwana budowa szkoły. Optymistów nie raziła na razie fakt, że na budowie zatrudnionych jest tylko pięciu ludzi. Wierzą, że LPB dotrzyma obietnicy i za dwa lata odda do użytku część dydaktyczną szkoły.

CIECHANOWIEC ◆ Dobiegają końca prace przy budowie 18-rodzinnego bloku spółdzielczego. Spółdzielnia jedno M-4 przekazała naczelnikowi – za przeznaczeniem na mieszkanie dla lekarza. ◆ W grudniu uruchomiony zostanie pierwszy w mieście sklep spożywczy WSS „Spotem”. Zlokalizowano go w dawnym zakładzie napraw sprzętu gospodarstwa domowego. ◆ Kierowcy z niecierpliwością oczekują zakończenia remontu trasy wylotowej w kierunku Siemiatycz. Półki co pojazdy toną w błotnistej drodze, która doprowadza do wypadków. ◆ Powołany został Wojewódzki Ośrodek Szkolenia Kadry Pożarniczych z siedzibą w Ciechanowie. Teraz zwożone są baraki, w których składowany będzie sprzęt pożarniczy. ◆ Rada Nadzorcza GS-u nie zgodziła się sprzedać naczelnikowi Miasta i Gminy pożydowskiej bożnicy. Budynek od kilku lat nie wykorzystany. ◆ Przedstawiciele zakładów pracy zdecydowali, że od losowania będzie zależało, który zakład pierwszy skorzysta z dostaw artykułów objętych reglamentacją.

PERLEJEWO ◆ Mieszkańcy Borzym opodatkowali się po 10 tysięcy złotych i kupili budynek, w którym urządziła izba szkolna. Obecnie trwają w nim roboty wykończeniowe. Jeszcze w tym roku szkolnym dzieci przeniosą się tu z wynajmowanych pomieszczeń. ◆ W innych

CIĄG DALSZY NA STR. 15

zdanie tygodnia

Chcesz mocno ucisnąć, to nie możesz za dużo obejmować. (Włodzimierz Michałuk, o materiałach informacyjnych przedstawionych Egzekutywie KW PZPR).

myśl z atestem

Bogu co boskie, cesarzowi, co cesarskie. A co ludziom?

Stanisław Jerzy Lec



Można zaryzykować twierdzenie, że u każdego młodego naukowca parającego się pracami doświadczałymi jest olbrzymi kapitał nadziei. Uwidocznia się to w postaci pokonywania pierwszego odcinka tej wyboistej drogi w postaci „zaliczenia” prac dyplomowych, magisterskich oraz doktorskich. Jest to okres życia jeszcze nie pozbawiony złudzeń odnośnie rozlicznych autorytetów z zakresu wiedzy pisanej i mówionej.

Patrząc na miniony okres z pozycji osobistego doświadczenia, jak i na tle losów innych, można zaryzykować twierdzenie, że klimat nauki polskiej w latach 1950—1960 miał ciekawe i zdrowe symptomy oraz kierunki działania. Był to okres organizowania zaplecza badawczego i naukowego po stratach czasu okupacji i wojny. Już wówczas zarysowały się tendencje zmierzające do pogodzenia warunków społeczno-politycznych kraju z tezą o tzw. „apolitycznym charakterze nauki”. Pojawili się też pierwsze oznaki „fasadowości” w rozwijającym się ruchu naukowym. Początkujący pracownicy nauki byli całkowicie uzależnieni od opinii swego promotora. Tytuły dydaktykom nadawano w innym trybie niż ma to miejsce ostatnio.

Te pokolenia, które brały aktywny udział w formowaniu na nowo nauki i jej zaplecza, powoli schodzą z areny życia albo już odeszły. Niektórzy z nich pozostawili po sobie ciepłe wspomnienia. Byli epigonami legend o ludziach — wyroczniach, twórcami tzw. szkół, grupujących entuzjastów nowych horyzontów.

Lata 1960—1965 zapoczątkowały bardziej zdecydowane odmładzanie kadr i ich odpowiednie profilowanie pod kątem postawy politycznej, społecznej itp. Te — słuszne w swej pryncypialności — poglądy zostały wykrzywione przez praktykę i życie codzienne. Kult jednostki, jaki w ówczesnych latach miał miejsce, doprowadził do znacznych wypaczeń. Powszechnie hołdowano zasadzie, że życiorys i aktywność społeczna są ważniejsze niż predyspozycje moralne i zdolności do tego specyficznego zajęcia, jakim jest tzw. praca naukowa. Powstawał nowy system doboru kandydatów, opierający się na deklaracyjnych wystąpieniach grup lub jednostek, z zupełnym pominięciem opinii bezpośredniego zwierzchnika naukowego. Pomijając ściśle terminy i chronologię — warto zaznaczyć, że powstające wówczas duże jednostki w placówkach naukowych (szkoły wyższe) dopełniły całkowitej zmiany w zasadach rozwoju kadr naukowych.

Te systemy i mechanizmy doprowadzały do bardzo drastycznych sytuacji, w których konflikt dotyczył eliminowania zdolnych konkurentów przez wykazywanie ich tzw. nieprawomyślności lub kompromitowanie — przy pomocy nader skomplikowanych scenariuszy. Te sytuacje były dla wielu przysłowiowym kubłem zimnej wody, wylewanej przez codzienną praktykę wtedy, kiedy marzący o karierze naukowej zbyt łatwo dawali się porwać pasji badawczej, zapominając zupełnie o modzie na tzw. „aktywistę młodzieżowego”.

Te kaskady doboru kadr miały zaowocować w kolejnych dekadach nadchodzących lat. Według poglądów lansowanych w latach 1960—1970 — po roku 1980 miała w kraju realizować programy badawcze całkiem nowa kadra, wówczas werbowana, wychowana już w duchu fasadowości; miała wytyczać nowe kierunki rozwoju kraju, przynoszące pełnię szczęścia i rozkwitu dla pokoleń okresu powojennego. Na usprawiedliwienie autologicznego. Na usprawiedliwienie autologicznego. Na usprawiedliwienie autologicznego.

Fasadowość zapanowała również i w światku naukowym. Rozpoczęły się seryjne nominacje poszczególnych szczebli hierarchii naukowej. Decyzje w tym względzie były przede wszystkim opierane na postawach kandydatów, a ilość tzw. dorobku stanowiła tło do tworzenia dobrze zapowiadającej się, nowoczesnej sylwetki naukowca ówczesnych lat. Nowe struktury organizacyjne, łatwość tworzenia różnych form administracyjnych, dostęp do finansów i duża możliwość w realizowaniu bardzo różnych, często zu-

pełnie fantastycznych, koncepcji — stworzyły zupełnie nowy typ „naukowca”. Ich zespoły — w bardzo śmiałych marzeniach — miały stanowić przeciwwagę ośrodków naukowych krajów zachodnich. Ale perspektywy tych założeń zaczęły się w niedługim czasie zarysowywać.

„zacnych, biegłych w piśmie, mędzów uczonych”, iż poziom wiedzy ukierunkowanej nie musi być dostępny dla ludzi do odbioru jej nie przygotowanych. Mówiąc jaśniej: im bardziej proste są pytania, tym trudniej nauce XX wieku na nie odpowiadać. Powstaje swoisty para-

uczeni mężowie u stóp szklanej góry

PROF. DR HAB. JERZY
MAZURCZAK



Niepokojącymi sygnałami były napuszone sprawozdania, opiewające postęp naukowy, jaki rzekomo miał miejsce w tych licznie powoływanych placówkach. One same wystawiały sobie takie świetlane opinie, a społeczeństwo informowały, że zawilości nauki nowożytny nie zawsze są rozumiane przez szarego zjadacza chleba.

Historyk będzie miał bardzo obfita lekturę w postaci m.in. korespondencji pomiędzy płatnikami a ośrodkami, które te pieniądze zużytkowały. Oczekiwania na efekty poniesionych nakładów nie zostały spełnione. Wówczas nastąpiło poszukiwanie przyczyn (coś w rodzaju polowania na czarownicę). Zespoły specjalistów od centralnego administrowania, dysponujące znaczną ilością tzw. instytucji resortowych, z reguły miały gotowe wyjaśnienia: ich działanie było realizowane zawsze zgodnie z zespołami doradczymi, rekrutującymi się właśnie z tych instytucji resortowych. Informacje te były rzetelne, bowiem każda decyzja na każdym szczeblu była konsultowana z tymi placówkami, natomiast kierowane do nich — były najczęściej kwitowane stwierdzeniem, że zasadniczy kierunek działań dyktowały jednostki administracji centralnej.

Uwagi te dotyczą swego rodzaju tabu, jakie jest rozpowszechniane przez

wan, za którym umieszcza się wszystko, co trudne, nowe i nieznanne. Jako prawdy obiektywne feruje się słuchaczom wszystkie truizmy, zwerifikowane przez praktykę i ubarwione zbiorem zawilich informacji.

Trzeba pamiętać, że im bardziej zawili jest język, którym zespoły naukowe starają się porozumieć z życiem, tym większe zastrzeżenia powstają odnośnie praktycznej przydatności uprawianej przez nie dziedziny wiedzy. Właśnie przyczynkarstwo, faktologia, stały się celem i domeną wysiłków naukowych nowo kreowanych kadr. Codzienne życie coraz mniej mogło zrozumieć z ogłaszanych przyczynków, więc były one mniej przydatne praktyce. Dotowane działania przyczynkarskie były wykładnią aktywności naukowej danego osobnika.

Pogoń za tytułami stała się motorem działań nie zawsze etycznie zasadnych. Frymarczenie tytułami i koneksjami wiązało się z desygnowaniem dotacji do zapowiadanych badań. Dający na nie pieniądze oraz zleceńbiorecy mieli spokojny sen, bo wynik (hipoteza) badań był pewny już po przeczytaniu tytułu pracy. Wiadomo też było, że wysiłek przyniesie określoną ilość publikacji, co warunkuje pozyskanie tytułów naukowych. Stworzył się niekontrolowany, hermetyczny świat, żyjący własnym, samostępującym się, systemem.

Pobocznym odpryskiem tego systemu było pojawienie się autorytetów naukowych. O nie to, w sposób wręcz mistrzowski, tworzyły wyrafinowane zasady oddziaływań między ludźmi. Swego rodzaju monetą obiegową stały się usługi świadczące w różnych formach i postaciach. Tworzyło się m.in. wręcz etatowych recenzentów, którzy w ten sposób odwiedzali się pryncypałów za wcześniej preparowane opinie itp. Takie sytuacje doprowadzały często do paradoksalnych faktów, np. delikwent dochodził do tzw. samodzielnych stanowisk naukowych nie napisawszy samodzielnie ani jednej pracy.

Nie należy sądzić, że bez wyjątku wszyscy uczestnicy zbiorowości naukowej powinni być tak oceniani. Warto jednak zaznaczyć, że ta część pracowników naukowych, która w ubiegłym okresie pełniła rozliczne funkcje, zwłaszcza w rozdzielaniu kredytów na tzw. tematy rządowe, w dużym przybliżeniu odpowiadała prezentowanej wyżej charakterystyce. Trzeba też brać pod uwagę fakt, że tradycyjne ośrodki naukowe typu uniwersyteckiego nie podlegały tym niekorzystnym ewolucjom.

Wiadomo powszechnie, że wykonywanie prac empirycznych zabiera znacznie więcej czasu niż dysputy i kontakty mające na celu „omawianie warunków”. Ta prawda dzieliła pracowników naukowych na dwie zasadnicze grupy: pochłoniętych pracą doświadczalną, nie zajmującą się tzw. organizowaniem nauki, i typowych działaczy, którym cały dzień (od 9.00 do 14.00) mijał na ko-

Rys. MARKA POLAŃSKIEGO

nekcyjnych naradach oraz urzędowaniu przy okazji pełnienia różnych funkcji. Życie drugiej grupy można określić jako „życie przy nauce”, polegające głównie na ubieganiu się o pieniądze i zaszczyty.

Nawet w XVIII wieku czynnikiem stymulującym znamiennie postępy nauki były wymogi społeczne. Historia zna wiele takich faktów. Ostatnie lata naszej rzeczywistości były typowym przykładem rozmijania się kontroli społecznej z nauką oraz potrzeb społecznych z pozorami myśli naukowej.

Pozostawiając te obrachunki bardziej kompetentnym, pragnę zaakcentować potrzebę takich zmian, które pozwoliłyby — jak przez szkło powiększające — ocenić wartość społeczną pracowników naukowych. Tym probierzem będzie prawdopodobnie nowy mecenat: rozumne decyzje załóg postępowych zakładów produkcyjnych. Mam wrażenie, że zachodzące zmiany gospodarcze doprowadzą do obumierania śmiercią naturalną tych struktur administracyjnych, które wytworzono dla produkowania naukowego „alibi” do podejmowania decyzji. Podobny los spotka „żyjących przy nauce”, rozdymających swe godności i powagi, które są woalem dla nicości i pustki.

polski dylemat — nadzieje i zwątpienia

Ironia historii

Nie tylko w Polsce socjologowie zastanawiają się nad zagadnieniem, czy młodzieży grozi wyobcowanie. Rozumieją to różnie: jako zbyt szybko rosnące oczekiwania, nie do spełnienia przez najbliższych i społeczeństwo; brak aprobaty i zrozumienia dla trybu życia i małych celów życiowych rodziców czy zespołów pracowniczych, do których trafiają po szkole; niezadowolenie z wiedzy i wartości oferowanych przez szkołę, związki młodzieży, środki przekazu, zakłady pracy, czyli — w rezultacie państwo, społeczeństwo, ludzi dorosłych. Zawsze takie zjawisko niezadowolenia i rozczarowania istniało w kontaktach między generacjami. Ale

to nie tylko przewagą ekonomiczną czy społeczną, ale także intelektualną. Inaczej po II wojnie światowej. Poszerzenie dostępu do oświaty sprawiło, że właśnie młodzież poczęła w wielu środowiskach, zwłaszcza chłopskich i po części robotniczych, górować nad starszymi. Ileż to mamy przykładów, że ucząca się w szkole córka czy syn wprowadza kogoś z rodziców w historię Polski czy za-

Zapiski nastolatków pokazują, że nie tylko tam, gdzie mamy do czynienia z wyraźnie niższym poziomem wykształcenia, różniącym pokolenie rodziców i dzieci, występują takie

**BRONISŁAW
GOŁĘBIEWSKI**

p o g o ń



w ostatnich dziesięcioleciach wyraźne jego nasilenie może niepokoić.

Znany socjolog krakowski z UJ, prof. Władysław Kwaśniewicz zastanawiając się, czy młodzieży grozi wyobcowanie? — w miesięczniku „Zdanie” (nr 4/1982) pisze m.in.: „Jest pewną ironią historii, że w poważnym stopniu przyczynia się do tego system kształcenia szkolnego. Cokolwiek powiedzieć o naszej edukacji narodowej trudno zaprzeczyć, że zawitała ona »pod strzechy«. Trzeba przy tym uświadomić sobie, że powszechność oświaty, nawet tylko na poziomie podstawowym, doprowadziła do poważnego przełomu w relacjach między młodym a starym pokoleniem. W przeszłości, nawet tej, która dotyczyła okresu międzywojennego, pokolenie starsze dysponowa-

ło nie tylko przewagą ekonomiczną czy społeczną, ale także intelektualną. Inaczej po II wojnie światowej. Poszerzenie dostępu do oświaty sprawiło, że właśnie młodzież poczęła w wielu środowiskach, zwłaszcza chłopskich i po części robotniczych, górować nad starszymi. Ileż to mamy przykładów, że ucząca się w szkole córka czy syn wprowadza kogoś z rodziców w historię Polski czy za-

poznaje z narodową literaturą. Tak więc wbrew tradycyjnym wzorom starsze pokolenie utraciło wobec młodego część swego autorytetu. Młodzi dostrzegli, że sami mogą stać się dla siebie architektami swej wizji świata, z którą nie muszą współbrzmieć idee wyznawane przez generację ojców. [...] Sprzyja temu fakt, że we współczesnym społeczeństwie występuje z reguły wiele ośrodków oddziaływania intelektualnego i emocjonalnego na młodzież. Czasy, kiedy ośrodki te sprowadzały się do triady: rodzina, kościół, szkoła — należą do przeszłości”.

kieszonkowe. Rodzice kochają się, nieźle zarabiają, dają się naciągać na różne głupstwa czy ciuchy. Mogę wymieniać jak w różańcu. Więc w czym rzecz? Sama dokładnie nie wiem, co zaczyna odstawać. Ale gdy słucham codziennych rozmów o tym, gdzie można kupić nowe opony do wozu, że buty taty są solidne i przetrzymają jeszcze jedną zimę, że w czerwonej czapce wyglądam beznadziejnie, to czuję się tak, jakbym zaglądała w garnek, gdzie gotuje się sam ryż. Pełno gęstego, szarego ryżu, który zje się na obiad, ale nigdy na deser. Przeraza mnie myśl, że tak jak oni — będę musiała kręcić się w dorosłym życiu dookoła dorabiania ciekawych kranów, sobót i niedziel poświęconych praniu i sprzątanii. Co jest najdziwniejsze — rodzice nigdy nie skarżą się na tę codzienność. Owszem, tracą nerwy w różnych drobiazgach, ale żadne z nich nie powiedziało, że przydałoby się zmienić tryb życia. [...] Nie wiem, czy oni — zawsze w pośpiechu, w biegu — zastanawiają się nad sobą i pomyślą: »Co mnie cieszy?« Na pewno mają jakieś satysfakcje, małe sukcesy, ale okupione tak dużym zmęczeniem i pracą — tracą zbyt wiele na swej wartości”.

Można, oczywiście, potraktować ten bardzo obrażony zapis jako kaprys rozpieszczonej nastolatki, która wielu rzeczy nie rozumie i — znudzona nimi — „wydziwia”. Autorka nie jest jednak ani rozkapryszoną pannicą, ani nie traktuje swoich uwag lekko. Świadczy o tym treść całego pamiętnika, jak i argumentacja przytoczonego fragmentu. Z wielu innych badań, a także z analizy całości zbioru pamiętników nastolatków wiemy, że zjawisko to ma szersze podłoże.

Żyjemy w brutalnym świecie

Przekonanie tego typu nader często można spotkać w pamiętnikach nastolatków. Czas ich pisania ma zapewne znaczny w tym udział. Ale czy tylko? Uczeń technikum z Lublina, Stanisław, który wita wydarzenia posierpniowe 1980 r. jednoznacznie aprobatą — „Młodzież z Wami, Robotnicy!” — taki snuje na ten temat wywód: „Czy warto się uczyć? W każdej chwili przecież po naszej Ziemi może zostać tylko pył. Może po to, aby komuś zaimponować? Albo zrobić na złość? A może po to, aby zostawić po sobie ślad? Kim być, aby zostać w pamięci ludzi? Politykiem, malarzem, poetą, aktorem, a może zbrodniarzem? Nie rozumiem, dlaczego ludzie są tacy zagonieni. Każdy chce mieć jak najwięcej i być tym najważniejszym. Po co to komu? Lepiej byłoby, gdyby wszędzie był las, a w tym lesie nadszy, piękni, spokojni ludzie. Dookoła pełno słońca, kwiatów, zieleni... Natomiast dzisiaj żyjemy w agresywnym, brutalnym świecie, o którym mówi się: nowoczesny, uniwersalny, kulturalny...”

Jest to naturalne pytanie okresu dojrzewania psychofizycznego, może nieco drastyczniej wyrażone w napiętej atmosferze ogólnospołecznej: mają sens czy nie mają sensu — życie i trud człowieka, historia ludzkości itp. I jaki jest sens tego „trudu istnienia”, starań życiowych. Ale trudno nie dostrzec w tym fragmencie czegoś więcej. Cytowany na początku prof. Kwaśniewicz nazywa to zjawiskiem autonomizowania się młodzieży, która uzyskawszy w socjalistycznym ustroju i społeczeństwie uprzedmiotowionym cały pakiet uprawnień, zmieniających jej położenie społeczne, ma znacznie większą swobodę podejmowania decyzji niż jej rówieśnicy w przeszłości-

za szczęśliwą gwiazdą

ci. „Pociąga to za sobą — pisze badacz — pewne separowanie się młodych, którzy wytwarzają wiele własnych rysów systemu wartości, stylu życia itp. Na tym tle mogą ujawniać się rozbieżności między starszą i młodszą generacją, w różny sposób w społeczeństwie przeżywane, m.in. jako tzw. konflikt pokoleń.”

Zmiany te zachodzą i w sferze wartości, i więzi społecznych, preferowanych przez młodzież. Pamiętniki nastolatków ukazują, że wartości osobowo indywidualne dominują nad zespołowymi czy ogólnospołecznymi,

a często też — ze względu na wiek i położenie, polegające na pozostawianiu na utrzymaniu rodziców czy opiekunów — nad wartościami materialno-bytowymi. W skrócie: prym wiodą dążenia do „bycia kimś”, a nie „czymś”, niezależnie od doraźnych okoliczności i opinii, nacisków społeczeństwa czy instytucji; „czymś” w znaczeniu pozycji społecznej czy uznania formalnego, zdobywanego przy pomocy dóbr i układów.

Na tym tle powstaje swoista, jeszcze nie skryształizowana, filozofia społeczna i moralna młodych ludzi, a przynajmniej próby jej poszukiwania (i formułowania). Ciekawe, iż najczęściej idą one w kierunku swojej filozofii moralnego niepokoju. Jednocześnie dość często pojawia się refleksja, że przeciętni ludzie, zagonieni codziennością, nad takimi problemami już się nie zastanawiają; znajdujemy je (w odniesieniu do rodziców) w cytowanym na początku fragmencie pracy Anki z Jabłonki Kościelnej. Jeszcze wyraźniej widać to w zapiskach 17-letniego licealisty, Andrzeja z Domanic (Siedleckie): „Sam też gardzisz sobą, że jesteś taki jak inni — podły i zepsuty, że kłamiesz nawet się nie czerwieniąc, że zaczepiasz wraz z innymi dziewczyny na ulicach, że dostawiasz stopnie w dzienniku, a przyjaźń i uznanie chcesz kupić tak, jak kupuje się gazetę, ubranie, kwiaty... Jednocześnie ludzisz się, że nie jest tak źle, skoro jesteś świadomy swego zepsucia, jesteś paskudnym egoistą i współczujesz tym, którzy cię nie rozumieją. Jakże litościwie patrzysz na tych, którzy nigdy nie próbowali bawić się w filozofów, nigdy nie zastanawiali się nad sensem życia, nie szukali na niebie sprzyjających gwiazd i nigdy nie mieli w ręce nawet najlichszego tomika wierszy. Żyją z dnia na dzień, wegetują, a przecież ile razy zazdrościłeś im tej nieświadomości”.

Jest to dążenie do własnego samookreślenia się, uniezależnienia w większym — niż starsze generacje — stopniu od potocznych i instytucjonalnych celów, ocen, ideałów, opinii, wartości itp., które są zaszczepiane razem z wychowaniem rodzinnym, szkolnym, religijnym lub w związku z młodzieżą.

Jeśli wzory — to osobowe Jeśli więzi — to partnerskie

Zmierzch autorytetów formalnych, instytucjonalnych w młodej generacji powoduje preferowanie w środowisku nastolatków wzorów postępowania i osobowych związanych z żywymi ludźmi, najczęściej — rówieśnikami, których cechy eksponują to „czym” lub „kim” są. Nie wszyscy wprost piszą na ten temat, ale jest on pośrednio obecny prawie w każdym wspomnieniu czy dzienniku. Natomiast przykładem dość typowym opisu wprost może być fragment pracy Beaty z Podgórzy: „Jeśli ktoś patrzył na Izę z daleka, widział tylko radość i uśmiech, nie widział natomiast bólu śmierci matki. Jej postawa niejednokrotnie skłaniała mnie do refleksji i podziwu. Pod wpływem wielu przeżyć sformułowałam zdanie: można mieć wielu przyjaciół lecz podziwiać — tylko kilku. Iza mnie przyciągała, w jej towarzystwie czułam się naiwną pensjonarką, a dorosłość i trzeźwe spojrzenie na świat uzmysławia mi moją niedojrzałość życiową”.

W ślad za takim wyborem wzorów ludzie potrzebują więzi niesformalizowanych, bezpośrednich, partnerskich (nawet jeśli — jak Beata w stosunku do Izy — uznaje się wyższość partnera), opartych na kontaktach i wartościach osobowych, niestereoty-

powych, zindywidualizowanych. Wszystko, co sformalizowane i sztuczne, przyjęte jako oficjalne, wtłoczone w z góry ustalony schemat — jeśli tu wyraźnie odrzucane. I nie dlatego, że autorzy tych pamiętników są z reguły „młodymi butownikami”. Zdarzają się i tacy, ale wcale nie dominują. Przeważają ci, którzy dążą do osiągnięcia ideału życia spokojnego, szczęśliwego, w dość zwyczajny sposób, z dala od zgiełku wielkiej polityki, walk społecznych i publicznych problemów; choć nie powinien to być spokój tradycyjny, uładowany po drobnomieszczańsku, „na pokaz”, w świętej zgodzie z opinią publiczną, nakazami i normami z góry ustalonymi.

W tym kontekście znamienity jest fakt, że dla tej generacji — przynajmniej w świetle pamiętników nastolatków — dużą rolę odgrywa poczucie upływającego czasu. Czas liczy się silniej niż w młodości pokoleń poprzednich jako element wartości, wzorców i kontaktów społecznych (więzi); a nastolatków do tego stopnia, że określenia „braku czasu”, „zagonienia”, „zapracowania”, bezsensu uczestnictwa w czymkolwiek, gdzie bez satysfakcji (bo niekoniecznie instrumentalnie rozumianego pożytku) „traci się czas”, wracają w ich zapiskach często w różnych kontekstach, co już w dotychczas cytowanych fragmentach można zauważyć. Przytoczę jeszcze jeden cytat z notatnika uczennicy LO, Beaty z Podgórzy: „Przypomniały mi się słowa profesora od biologii: »Wy się tak uśmiechacie, kochani, ale zobaczcie jak czas przelica. Być może ma rację, ale coś z tego, kiedy jego słowa rozplywają się w eterze. My nie mamy czasu na rozważania, żyjemy z dnia na dzień. Dziś klasówka z fizyki, jutro z francuskiego itd. Mówiono, że zatwierdzili jakiś nowy związek. Dobrze, bardzo dobrze, ale co to nas obchodzi. My, licealiści, jesteśmy zapracowani, tak — z a p r a c o w a n i. Stwierdzenie to dotyczy oczywiście tylko tych, którzy mają jakieś konkretne plany na przyszłość. Oni to wibują w głowę różne regułki i wzory, zgodnie z żądaniem profesorów, a nie zawsze umieją myśleć i spostrzegać doniosłość tego, co dzieje się wokół”.

Może tu powstać podejrzenie, że Beata jest po prostu typem pilnej uczennicy, nastawionej maksymalnie na naukę, bo nawet taki fakt, jak rejestracja „Solidarności” jesienią 1980 r., kwituje tylko zdaniem: „Mówiono, że zatwierdzili jakiś nowy związek”. Otóż nic podobnego. Jest to reakcja o tyle typowa w pamiętnikach nastolatków (poza wyjątkami), że nawet na zainteresowanych życiem społecznym usankcjonowanie niezależnego i samorządowego związku zawodowego nie zrobiło większego wrażenia. Zostało to przyjęte (szczególnie w mniejszych miastach) dość obojętnie jako powstanie jeszcze jednego formalnego związku. Dopiero późniejsze strajki szczególnie po sprawie bydgoskiej i huraganowa akcja propagandy plakatowo-napisowej (na murach) zmieniły to nastawienie.

Czy w świetle powyższego można tę generację (a przynajmniej autorów analizowanych pamiętników) nazwać romantyczną lub pragmatyczną, a może jeszcze inaczej? Jakiego celu życia, postawy, style wykluwają się w tym pokoleniu i znajdują — choćby jeszcze bardzo pierwiastkowo — wstępny zapis w tych wyznaniach. Czy można tu znaleźć jakiś wspólny mianownik?

Fot. GABOR LÖRINCZY

W listopadzie 1982 r. upłył 11-miesięczny okres obowiązywania stanu wojennego w Polsce, wprowadzonego decyzją Rady Państwa z dnia 12 grudnia 1981 r. Decyzji tej towarzyszyło wydanie wielu aktów prawnych, m.in. dekretu o postępowaniach szczególnych w sprawach o przestępstwa i wykroczenia.

Na organy ścigania i wymiaru sprawiedliwości, w tym także na Prokuraturę, przepisy dekretu nałożyły nowe zadania: zwalczanie i represjonowanie sprawców naruszeń prawa wymierzonych przeciwko ustrojowi państwa; szybkie i konsekwentne ściganie sprawców groźnej przestępczości kryminalnej, w tym godzącej w bezpieczeństwo obywateli i ich mienie; bezwzględna walka ze zjawiskami noszącymi cechy szkodnictwa gospodarczego, tj. spekulacją, marnotrawstwem i niegospodarnością mieniem społecznym.

Zadania te w pełni pokrywają się z postulatami wysuwanymi pod adresem organów ścigania przez społeczeństwo, które domaga się surowego karania osób naruszających normy prawa i zasady współżycia społecznego, szczególnie w okresie, kiedy każdy przeciętny obywatel bezpośrednio odczuwa skutki kryzysu.

Od 13 grudnia 1981 r. w sprawach o najpoważniejsze przestępstwa wdrożony został tryb doraźny. Do końca października br. proku-

S u r o w s z a twarz sprawiedliwości

ratury województwa łomżyńskiego wszczęły w tym trybie i skierowały do Sądu Wojewódzkiego 48 aktów oskarżenia przeciwko 67 osobom. Sprawy dotyczyły poważnie przypadków zagarnięcia mienia społecznego i prywatnego znacznej wartości, rozbojów, napadów na funkcjonariuszy państwowych. W trybie tym osadzono i skazano oskarżonych, którzy 17 grudnia 1981 r. w Spółdzielni Wyrobu Zabawek w Ciechanowcu podjęli akcję protestacyjną przeciwko decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego.

W przypadku mniej poważnych występów sądy rejonowe stosują tryb przyspieszony. Między innymi dotyczy on sprawców spekulacji, przestępstw o charakterze chuligańskim, drobniejszych przypadków zagarnięcia i kradzieży mienia społecznego.

Sprawcom spekulacji organy ścigania, we współdziałaniu w Wojewódzką Komisję do Walki ze Spekulacją i jej terenowymi organami oraz Państwową Inspekcją Handlową, poświęcają szczególną uwagę. W bieżącym roku wszczęto 142 sprawy z ustawy o zwalczaniu spekulacji (dla porównania: w 1981 r. — 71 spraw). Podkreślenia wymaga fakt, że w województwie łomżyńskim nie ujawniono przypadków spekulacji aferejowej, a więc o znacznych rozmiarach. Najczęściej były to sprawy drobne, polegające na ukryciu towaru przed konsumentem w jednostkach handlu detalicznego, bądź pobieraniu zawyżonych cen. Dużą aktywność w ujawnianiu przypadków spekulacji przejawiają zespoły kontrolne Komisji do Walki ze Spekulacją wspólnie z funkcjonariuszami MO, niewielka natomiast jest aktywność wewnętrznych organów kontroli działających w jednostkach handlu społecznego. Ostatnio do akcji kontrolnych włączani są przedstawiciele załóg zakładów pracy.

Na tle uwag krytycznych o niewspółmierności kary wymierzonej przez sądy względem sprawców spekulacji należy stwierdzić, że w województwie łomżyńskim średnia wymiaru kary przekracza trzykrotnie wartość towarów będących przedmiotem spekulacji. Orzecznictwo zatem w zasadzie odpowiada społeczeństwu zapotrzebowaniu. Niemniej w 8 przypadkach prokuratury zaskarżyły wyroki sądowe, domagając się zaostreżenia wymiaru kary.

W zwalczaniu marnotrawstwa i niegospodarności mieniem prokuratury badają wszystkie sygnały pochodzące od obywateli i ze środków masowego przekazu. Dotychczas wyjaśniono takich spraw

10. Między innymi wszczęto dwa śledztwa dotyczące zepsucia się kilku ton mięsa w jednostkach podlegających łomżyńskiemu Oddziałowi Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców. W dalszym ciągu nie potrafimy tak przechowywać wyprodukowanych towarów (w tym — środków żywności), aby nie pogarszać ich wartości lub zapobiec zniszczeniu. Niezależnie od niedostatków bazy magazynowej i urządzeń np. chłodniczych, powodem dużych strat są czynniki subiektywne, jak niedbalstwo i codzienna niegospodarność.

Jak należy ocenić aktualny stan porządku i bezpieczeństwa w naszym województwie? Dane statystyczne mówią, że w ciągu 10 miesięcy br. odnotowaliśmy spadek wszczętych spraw o 2,5 proc., a więc i spadek przestępczości. Nadal jednak występuje duża ilość włamań do obiektów gospodarki społecznej i prywatnych, w tym także mieszkań. Plagą w odczuciu społecznym są włamania do pojazdów samochodowych, garażowanych na wolnym powietrzu.

Organy ścigania w wykrywalności sprawców przestępstw uzyskały w stanie wojennym dobre wyniki. W zasadzie wszyscy sprawcy najpoważniejszych przestępstw kryminalnych zostali postawieni przed sądem. O wiele spokojniej jest na naszych ulicach, w miastach i wsiach. Nie notujemy w tak drastycznej formie popełnianych

przestępstw, jakie miały miejsce przed 13 grudnia 1981 r.: bójek z wynikiem śmiertelnym, rozbojów, zuchwałych kradzieży i zgwałceń.

W Łomżyńskiem po 13 grudnia 1981 r. siły ekstremalne i anarchii nie podjęły poważniejszych działań, zmierzających do zakłócenia porządku publicznego. Są jednak ludzie, którzy wykorzystują niezadowolenie społeczne w związku z trudną sytuacją gospodarczą, starają się podgrzewać napięcia i wywoływać konflikty, posługując się przy tym plotką i ułotkami zawierającymi fałszywe wiadomości. Przestępstwa te ścigane są — zgodnie z dekretem o stanie wojennym — w trybie doraźnym przed sądami wojewskimi.

W okresie stanu wojennego Prokuratura podjęła konkretne działania profilaktyczne. W grudniu 1981 r. i styczniu 1982 r. prokuratorzy odbyli blisko 40 spotkań z załogami największych zakładów pracy, podczas których wyjaśniali podstawy prawne wprowadzenia stanu wojennego oraz przepisy dekretu o stanie wojennym. Tyleż spotkań i narad odbyli z pracownikami handlu w celu omówienia przepisów o zwalczaniu spekulacji oraz ponad 100 spotkań — z młodzieżą szkolną i kadrami pedagogicznymi.

W I półroczu 1982 r., wykorzystując materiały z postępowań karnych, wytknięto w tzw. wystąpieniach (71) pod adresem kierownictw zakładów pracy stwierdzone uchybienia, które sprzyjały popełnieniu przestępstw; 25 osób zostało pociągniętych do odpowiedzialności służbowej i materialnej.

Niezależnie od postępowań karnych przeprowadzono z 580 osobami rozmowy ostrzegawcze w związku z naruszeniem przez nie przepisów prawa i zasad współżycia społecznego. W większości chodziło o przypadki nadużywania alkoholu, znęcania się nad rodziną oraz niealimentowania jej członków.

W dalszych działaniach Prokuratura skoncentruje się na zwalczaniu spekulacji, niegospodarności i marnotrawstwa, przestępczości kryminalnej i zjawisk rodzących przestępczość, tj. alkoholizmu i pasożytnictwa społecznego, wykorzystując nowo uchwalone przez Sejm ustawy, z jednoczesnym rozwijaniem różnych form profilaktycznych. Jak zawsze — liczymy na pomoc i wsparcie naszych działających ze strony społeczeństwa.

JÓZEF
FRANCISZKOWICZ
zastępca
prokuratora wojewódzkiego

zbliżenia



Poziom upraw czy hodowli nie zależy bowiem wyłącznie od tego, co rolnik ma w głowie, ale także od tego, czy może zastosować swą wiedzę w praktyce (coż z tego np., że przekonał się do nawozów sztucznych i wie już nawet, jak je stosować, kiedy teraz ma kłopoty z ich nabyciem?). Do tej pory czerpał ją głównie z radia, telewizji,

jakiś wizytator-formalista, który nie zrozumie intencji...

Centrami szkolenia przyszłych rolników są w łomżyńskim Zespole Szkół Rolniczych: w Marianowie, Wojewodzinie, Nieckowie, Krzyżewie. Oprócz kierunku ogólnorolniczego, każdy z nich stawia na jakąś specjalizację: Marianowo na mechanizację rol-

weterynary. Pozostała młodzież uczęszcza w licznych zasadniczych szkołach zawodowych, których poziom nie gwarantuje, niestety, niczego więcej nad „liźnięcie” teorii, bo praktykę i tak każdy z uczniów ma w ojcowiskim gospodarstwie.

Równolegle do nauczania szkolnego rozwijał się system szkolenia na kursach kwalifikacyjnych. Cho-

kacyjne kończy 4500—5000 ludzi. Cóż z tego, że znajomość granic Polski i różnicy między koniem a ciągnikiem to nieco za mało, jak na rolnika przełomu wieków? Niestety, znów dał o sobie znać stary grzech przedkładania ilości na jakość.

Nie zdały też egzaminu, powstałe z podupadających liceów ogólnokształcących, licea rolnicze. Ta sama baza materialna, ta sama kadra nauczycielska, tylko w niewielkim stopniu zmodyfikowany program — to z góry przekreślało szanse na przyzwoity choćby poziom nauczania. Ponieważ licea wybierają prawie wyłącznie dziewczęta, jedynym sensownym rozwiązaniem wydaje się propozycja przekształcenia tych placówek w szkoły gospodarstwa wiejskiego.

— Poważnym mankamentem systemu nauczania w łomżyńskich szkołach rolniczych jest to, że nie uwzględnia on specyfiki regionu — twierdzi dyrektor Koćwin z Zespołu Szkół Rolniczych w Wojewodzinie. — W województwie przeważają (aż 96 proc.) gospodarstwa indywidualne. Ich trwałość zostanie zagwarantowana konstytucyjnie. Dlaczego więc, myśląc perspektywnie, nie przygotowujemy młodych do pracy w takich właśnie warunkach? Wymaga to wprowadzenia do programów przedmiotów zawodowych nowych treści, a usunięcia nieprzystających, i zmiany trybu odbywania praktyk. Uczeń musi wyjść poza gos-

zaczarowany krąg niemocy

DANUTA
I ALEKSANDER
WRONISZEWSCY

propagandowo-oświatowych odczytów we wsi, a przede wszystkim — z długoletniej praktyki. Długoletniej, bowiem ponad połowa łomżyńskich rolników przekroczyła już 45 rok życia. Kolejno 30 proc. to dzieci do lat 14, które jeszcze same z ziemi się nie utrzymują, ale mogą na niej w przyszłości pracować. Powinny nawet, bo wieś łomżyńska szybko się „starzeje” i bardzo potrzebuje następców. Póki co, jest to jednak z reguły tylko pobożne życzenie. Młodzi uciekają ze wsi. Na gospodarstwach zostają ci, którzy nie mają innych możliwości. Głównie dlatego, że nie zdobyli żadnego przygotowania zawodowego.

Jeszcze cztery lata temu wykształcenie podstawowe lub niepełne podstawowe miało 87,8 proc. ludności wiejskiej. Zasadniczym wykształceniem rolniczym legitymowało się 4,4 proc., średnim — 1,5, a wyższym — 0,2. Mimo stosunkowo niewielkiej ilości szkół rolniczych, tylko połowa ich absolwentów zatrudniała się w obsłudze rolnictwa, a nieznaczna część powracała na gospodarstwa indywidualne. Pozostali znajdowali pracę poza rolnictwem.

Województwo łomżyńskie nie ma szans na to, by stać się znaczącym okrugiem przemysłowym. Swój rozwój mogłoby natomiast zawdzięczać rolnictwu pod warunkiem znacznego podniesienia poziomu kultury rolnej, zapewnienia wyspecjalizowanych usług oraz rozbudowy przemysłu rolno-spożywczego i przetwórstwa. Sek w tym, że osiągnięcie tego celu bez wykwalifikowanych rolników i specjalistów z obsługi rolnictwa jest niemożliwe. Biorąc to pod uwagę władze województwa zainteresowały się bliżej oświatą rolniczą. Wymiernym efektem tego było powołanie do życia nowych szkół, a co za tym idzie — zwiększenie liczby uczniów: z 1500 w roku 1975 do 4500 w 1980.

Z samego faktu rosnących liczb nie można jednak wyciągać od razu jednoznacznego wniosku, że oto rozwija się nam oświata rolnicza. Cyfry mówią cokolwiek dopiero wtedy, gdy wiemy, co się za nimi kryje. I tak np. bardzo iluzoryczne wydają się dane dotyczące szybkiego wzrostu kwalifikacji rolników. W raporcie wojewody „O stanie i kierunkach oświaty rolniczej” czytamy, że w 1975 r. 80 proc. rolników miało wykształcenie podstawowe i niższe, a w 1980 — już tylko 50. Tymczasem faktycznie dane te zawsze były i są zaniżane. Pod wykształcenie zasadnicze zawodowe podciąga się bowiem wszelkiego rodzaju kursy kwalifikacyjne, o których powszechnie wiadomo, że są co najwyżej sprawdzianem dotychczas nabytych wiadomości, a nie ich uzupełnieniem. Demaskatorsko w tej kwestii zadziałało ubiegłoroczne złaogodzenie przepisów o obrocie ziemią mówiące o tym, że nabywcy lub spadkobiercy, którzy ukończyli 35 rok życia, nie muszą już zdobywać żadnych kwalifikacji, jeżeli praca w gospodarstwie stanowi główne źródło ich utrzymania. Liczba kursantów spadła natychmiast do 25 proc.

A jak jest w szkołach rolniczych? Programy — sztywne, jednakowe w całym kraju, choć specyfika regionalna wymagałaby traktowania ich z dużą elastycznością. Dyrektorzy wprowadzają nieraz pewne zmiany, lecz zawsze z obawą, że znajdzie się

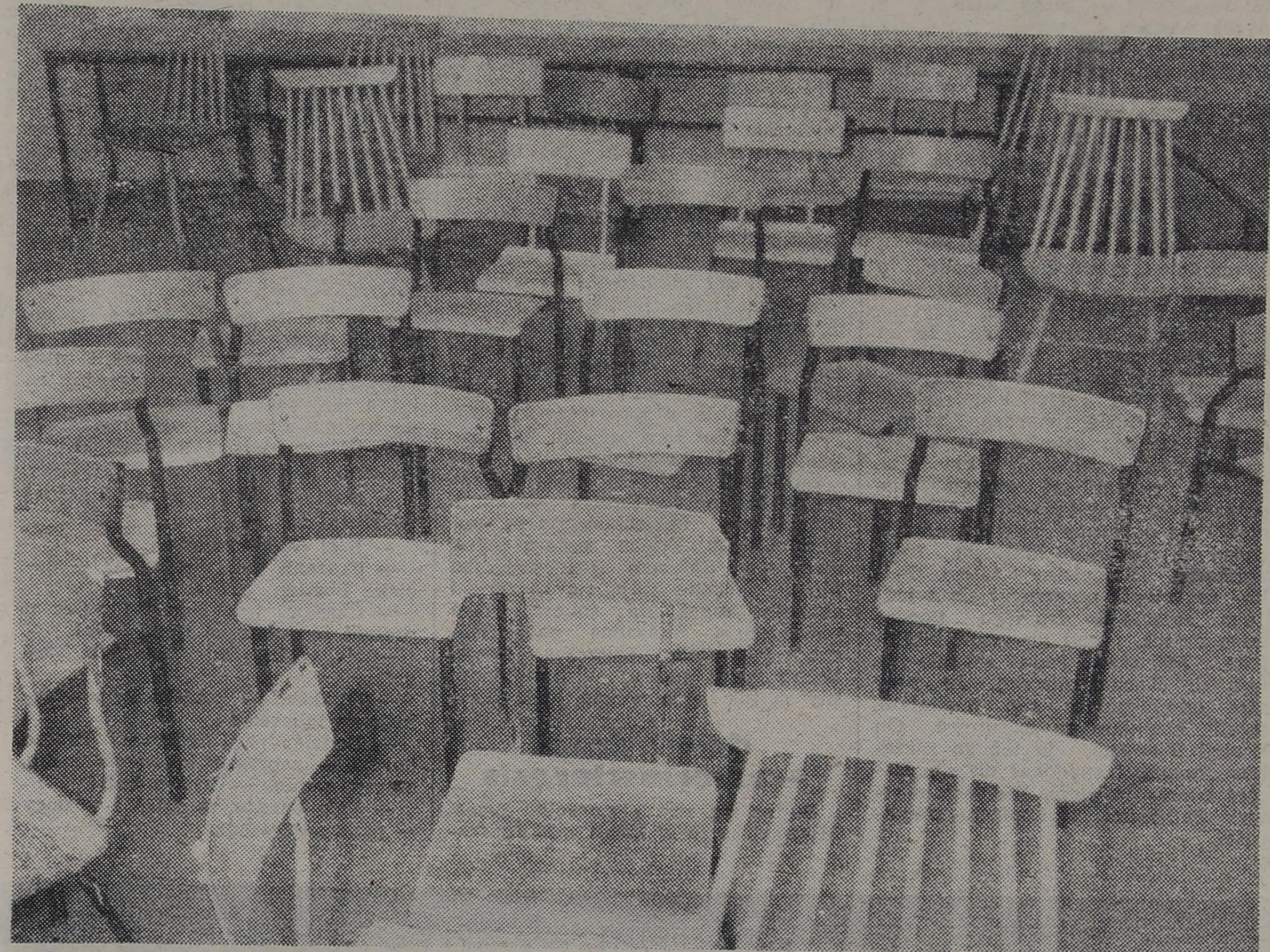
nietwa. Wojewodzin na łaskarstwo, Nieckowo — sadownictwo i szkółkarstwo. W łomżyńskim Zespole Szkół Weterynaryjnych, jednej z pięciu tego typu placówek w Polsce, kształcą się przyszłych techników

ciaż program na lata 1976—85. przewidywał objęcie szkolnymi formami kształcenia całej młodzieży pozostającej na wsi, rokrocznie opuszcza mury szkolne 1100—1300 absolwentów, natomiast kursy kwalifi-



podarkę ojca, którą zna, a w której sam nie może nic zmienić; nie powinien też na dotychczasowych zasadach pracować w państwowych gospodarstwach wielkotowarowych, gdzie najczęściej służy za gońca lub „fachowca” od prostych, lecz uciążliwych, robót. Rada na to byłaby stosunkowo prosta: przy pomocy WOPR-u znaleźć odpowiednią ilość dobrych gospodarstw indywidualnych. Wcześniej jednak konieczne

było uzyskanie zgody Ministerstwa Rolnictwa. Dalej: indywidualizacja nauczania. Syn rolnika zna pewne prace niemal od urodzenia, syn robotnika czy nauczyciela — z opowiadań. A córka? Niestety, szkoły rolnicze, z wyjątkiem takich kierunków, jak mechanizacja rolnictwa i weterynaria, stają się powoli „babińcami”. Trzeba więc zastanowić się nad tym, jak uczyć, by nauczyć dziewczynę prac gospodarskich, wykonywanych wyłącznie przez kobiety. Szkoły nie cierpią z reguły na nadmiar sprzętu, pomocy naukowych, dlaczego by więc nie zastanowić się nad ograniczeniem ilości zajęć w stosunku do uczniów, którzy pewne czynności opanowali już rutynowo, na korzyść tych, dla których są one nowością?



byłoby uzyskanie zgody Ministerstwa Rolnictwa.

Dalej: indywidualizacja nauczania. Syn rolnika zna pewne prace niemal od urodzenia, syn robotnika czy nauczyciela — z opowiadań. A córka? Niestety, szkoły rolnicze, z wyjątkiem takich kierunków, jak mechanizacja rolnictwa i weterynaria, stają się powoli „babińcami”. Trzeba więc zastanowić się nad tym, jak uczyć, by nauczyć dziewczynę prac gospodarskich, wykonywanych wyłącznie przez kobiety. Szkoły nie cierpią z reguły na nadmiar sprzętu, pomocy naukowych, dlaczego by więc nie zastanowić się nad ograniczeniem ilości zajęć w stosunku do uczniów, którzy pewne czynności opanowali już rutynowo, na korzyść tych, dla których są one nowością?

Praktyczna nauka zawodu, a konkretniej: jej niedomagania, to bolączka większości szkół rolniczych. Choć przyczyny tego mogą być różne, wspólne jednak wszędzie jest tzw. poważne niedoinwestowanie bazy. Stan ten, w związku z niemal całkowitym wstrzymaniem inwestycji, utrzyma się jeszcze zapewne dość długo. Przez minione 7 lat wydano (w cenach z 1978 r.) 119 100 tysięcy złotych. Niewiele skorzystali z tego uczniowie — zbudowano wprowadzić lecznicę zwierząt przy Zespole Szkół Weterynaryjnych (to jedyna szkoła, która nie ma poważniejszych trudności w przygotowaniu uczniów do zawodu) i warsztat w Nieckowie, ale reszta pieniędzy poszła na budynki mieszkalne dla nauczycieli oraz — znacznie mniej przydatne szkołom — obiekty w szepietowskim WOPR-ze: fermę trzody chlewnej i ośrodek szkoleniowy.

Jedynie dwie szkoły (Nieckowo i Wojewodzin) mają własne gospodarstwa. Wprawdzie nareszcie jasno zostały uregulowane wzajemne relacje i zależności, ale trudno zsynchronizować gospodarstwo ze szkołą w ciągu jednego roku, skoro przez wiele lat rozwijały się one dość niezależnie. — Nasze gospodarstwo w Wojewodzinie — mówi dyrektor Koćwin — ma 204 hektary: za dużo na ogródek warzywny, a za mało na, w pełni dochodowy modelowy obiekt. Wprawdzie kształci się u nas m.in. hodowców, ale w gospodarstwie jest tylko bydło. A przydałyby się jeszcze niewielkie, typowe dla gospodarki indywidualnej, chlewnia, owczarnia i kurnik na 1,5 tysiąca. Niestety, są to inwesty-

najczęściej u rodziców. Gospodarstwa państwowe i spółdzielcze przyjmują teraz bardzo niechętnie. Są przecież na własnym rozrachunku i nie opłaca im się zatrudniać mało wydajnego ucznia. Tymczasem szkoła nie może płacić swoim wychowankom za praktyki. Dochodzi nawet do takich paradoksów, że nasz własny warzywnik, ślicznie pielęgnowany, w czasie wakacji straszny bujnymi chwastami. Po prostu nie możemy zatrudnić u siebie choćby kilku uczniów, a sprzętarka nie da rady lub nie chce.

Stale współpracujemy z PGR-em. Marianowo, łączą nas bardzo dobre stosunki; cóż z tego jednak, skoro np. fermę kurzą uczniowie oglądać mogą jedynie na odległość. Po prostu weterynarz nikogo tam nie wpuszcza. Jednak kłopoty z „rolnikami” są niczym w porównaniu z tymi, jakie mamy z „mechanikami”. Warsztaty przyszkolne budowane były na potrzeby specjalności rolnej; teraz szkoła ma także, a właściwie — przede wszystkim, ciąg mechanizacji. Warsztaty pozostały te same. Zajęcia cały czas prowadzone są na pełne dwie zmiany, ale i to nie wystarcza, gdy do dyspozycji mamy dwie rozspujące się tokareczki. Nas też obowiązuje 3xS i z dochodu wypracowanego w warsztatach musimy utrzymać całą administrację. Stosujemy więc różne wybiegi, a przecież wystarczyłoby tylko lepsze wyposażenie...

Człowieka z zewnątrz skreca ze śmiechu, gdy widzi nauczyciela, który chucha na jeden przestarzały ciągnik, jak na drogocenne cacko, i nie pozwala dotknąć go byle patałachowi. Kombajny i inne skomplikowane maszyny, a także narzędzia, mogą zobaczyć uczniowie podczas... wycieczek do pegeerów. Niektórzy mają nawet szczęście pogrzebać przy nich, gdy na praktykę trafiają do POM-u. Większość przyszłych mechaników rolnictwa praktykuje jednak na ojcowiznie, gdyż gdzie indziej miejsca nie ma. W tym roku 60 proc. SKR-ów zerwało umowy na praktyki. Powód: reforma.

Z raportu wojewody można wywnioskować, że bardzo wzrósł nam przez ostatnie lata poziom wykształcenia kadry w szkołach rolniczych: od 57,6 proc. ze studiami wyższymi w roku 1975 do 76 — obecnie. Jednak nie sama wiedza przesądza o tym, czy ktoś jest dobrym, czy też złym nauczycielem. W pra-

cy z uczniami potrzebne są jeszcze inne predyspozycje i umiejętności. Szczególnie trudna pod tym względem jest sytuacja w internatach. Chociaż i tam coraz więcej magistrów, ubywa jednak ludzi potrafiących prowadzić pracę wychowawczą, organizować zespoły artystyczne itp. (Zlikwidowano jedyną szkołę wychowawców internatu w Pszczelinie) A przecież absolwent szkoły rolniczej powinien nie tylko

dobrze prowadzić gospodarstwo, lecz być także jednym z organizatorów życia społeczno-kulturalnego na wsi.

Wszystkie podstawowe bolączki nekające szkolnictwo rolnicze są — prędzej czy później — do usunięcia: zmianę programów nauczania można wywalczyć, skończy się kiedyś inwestycyjny impas, poprawi się zaopatrzenie w sprzęt itp. Przewidywany kryzys oświaty rolniczej, naszym zdaniem, polega jednak na czym innym — przede wszystkim na niechęci młodych do pracy na wsi. Wszystko zdaje się to potwierdzać. Nabór do szkół rolniczych jest bardzo słaby: do zasadniczych trafiają uczniowie najslabsi, do średnich też ci, którzy nie mają szans gdzie indziej. Poza tym nie zapominajmy, że są to przede wszystkim dziewczęta (od 67 proc. w technikach do 90 — w liceach), które do 16—18 roku życia nie bardzo mają co z sobą zrobić. Chłopak po podstawówce od biedy może już zostać na gospodarce, ale dziewczyna? Trochę się podkładać, oszlifuje w mieście lub miasteczku, pozna kandydata na męża i ucieknie ze wsi na dobre. Gwałtowny exodus dziewcząt do miast sprawia, że nawet ci nieliczni chłopcy, którzy na gospodarce pozostają, robią to tylko wtedy, gdy nie mają już absolutnie żadnego innego wyjścia. Bo cóż to za życie, które składa się z samej roboty? Dlatego też co ambitniejsi wybierają szkoły zasadnicze lub średnie mechanizacji rolnictwa, bo dają im one szanse zatrudnienia się w jakichś zakładach państwowych, w najgorszym przypadku — w SKR-ach. I tak: chociaż w szkołach rolniczych przylatczającą większość (71—87 proc.) stanowi młodzież pochodzenia chłopskiego, pracę na ziemi pozostawia ona przeważnie swym mniej zdolnym, bardzo słabo wykwalifikowanym, rówieśnikom.

Jeżeli ten zaczerpnięty krag nie zostanie przerwany, długo jeszcze będziemy mówić o chłopach, a nie o rolnikach. Mimo znacznego postępu we wszystkich dziedzinach życia, jedynie do pracy na roli nadal nie wymaga się wykształcenia zawodowego. Dopóki uprawą ziemi będzie mógł się zajmować byle kto, mający słabe pojęcie o tej ciężkiej i trudnej pracy, nie zyska ona — należnego jej — społecznego uznania.

Fot. GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

7
KONTAKTY
28 XI 1982

Jesteśmy mieszkańcami Kolna i byliśmy pierwszymi z tych, którzy zaczęli budowę domów jednorodzinnych na nowo wyznaczonym, jeszcze przez Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Kolnie, osiedlu 1000-lecia. Po załatwieniu wszystkich formalności, związanych z nabyciem działki, w roku 1967 otrzymaliśmy plan na budowę domu. Na planie rozbudowy osiedla, który zatwierdził były architekt powiatowy, inżynier Stanisław Szostkowski, obecny architekt gminny — wzdłuż szerokości poszczególnych działek były naszkicowane budynki gospodarcze. Jednakże nasz sąsiad, obywatel Stanisław Sokołowski, otrzymał zezwolenie na budowę budynku gospodarczego o długości 9 metrów wzdłuż naszej działki. Usytuowanie w ten sposób budynku gospodarczego zasłoni nam prawie całą działkę od strony południowej, co nie pozwoli na dalszą uprawę warzyw.

Nie mamy pretensji do sąsiada, że chce budować na swoim terenie, bo zarówno on, jak i Borzynowski, Niedźwiecki i my, według planu, możemy stawiać na styku swoich poletek budynki gospodarcze, ale tak, by ich długość była prostopadła do długości działki. Tak właśnie pobudowali budynki gospodarcze wszyscy mieszkańcy naszej ulicy. Wyjątek stanowi budynek gospodarczy, pobudowany przez obywatela Borzynowskiego wzdłuż działki, przez co zasłania dopływ słońca na działkę sąsiada Niedźwieckiego. Właśnie na podobną dostał pozwolenie nasz sąsiad, obywatel Sokołowski, i rozpoczął już pierwsze prace. Dla nas jest to bardzo krzywdzące, bo zasłoni nam cały dopływ słońca. Rozmawialiśmy o tej sprawie z architektem wojewódzkim w Łomży, który powiedział, że tak budować nie wolno. Decyzja naczelnika Miasta i Gminy w Kolnie miała być ponownie rozpatrywana. Jednakże została ona utrzymana w mocy, a my czujemy się bardzo skrzywdzeni.

**KRYSTYNA I TADEUSZ
LOJEWSKY**
Kolno

★

Mieszkańcy wsi Dąbrowa Moczydły, gmina Szepietowo, zwracają się z prośbą o pomoc w rozwiązaniu problemu, który trwa już od kilku lat. Zaczął się on w momencie, kiedy zaprojektowano budowę drogi biegnącej przez naszą wieś do miejscowości Dąbrowa Wielka, Rosochate Kościelne, Czyżew. Chociaż drogę pobudowano z brukowca, to wieś nie ma z niej żadnego pożytku, bo zostały poważnie zakłócone stosunki wodne tego terenu. W związku z tym na drodze utworzyło się jezioro, które istnieje nawet w najsuchszym roku. Teraz przez naszą wieś nie można już wcale przejechać.

Urząd Gminy niejednokrotnie upominał się, aby Rejon Dróg Publicznych w Wysokiem Mazowieckiem, który drogę budował, zechciał ją naprawić. Ale nie przyniosło to żadnego skutku. Wprawdzie było już u nas kilka komisji, które zobaczyły jezioro, ale potem pojechały i to wszystko. A nam nadal łamią się wozy, uszkadzają samochody; ludzie zaś przeklinają i zastanawiają się nad tym, czy rzeczywiście nie ma żadnej siły, aby temu złu zaradzić.

CZESŁAW DOŁĘGOWSKI
sołtys wsi
JOZEF STOKOWSKI
STANISŁAW SZEPIETOWSKI
JAN DĄBROWSKI
i inni mieszkańcy wsi
Dąbrowa Moczydły



CIĄG DALSZY ZE STR. 1

jest pan zdrowy — przyjaźnie poklepuje dziadka po plecach.

Staruszek wręcza 200 złotych. — To dopiero w sobotę, jak będzie pan czuł poprawę — mistrz oddaje pieniądze.

Seans trwa przeciętnie dwie minuty. W tym czasie Bogdan Kacmąjor wita wchodzącą osobę, prosi o zajęcie miejsca na taborecie, przykłada palce, wymienia schorzenia i dolegliwości siedzącej, jednocześnie rozmawia z nami, żartuje, pali papierosa za papierosem (marki Dunhill, gdyż, jak mówi, lubi otaczać się ładnymi przedmiotami i dobrze wykonanymi; gdy po cudzie mistrz stanie się sławny, Niemam, że firma Dunhill kapnie coś za reklamę). Od razu nawiązuje kontakt z ludźmi, bez względu na pleć, wiek i zawód. Twierdzi, że zna wiele języków — listonoszki, lekarza, kryminalisty, księdza...

— Tutaj przychodzą wszyscy, policjanci i złodzieje, kurwy i zakonnice — mówi zwracając się do mnie.

O 18.45 mistrz ogłasza przerwę na herbatę. Przyjmuje dziennie ponad 240 osób, ponadto odbywa wizyty domowe u osób obłożnie chorych oraz ponadplanowe. Herbata na stole. Bogdan wprowadza mnie w tajniki swojej metody.

— Czarna magia jest faktem. Ja robię białą magię. Ucieka ze mnie myślenie, zostaje samo czucie. Znam myśli tych, których dotykam. Nie czytam w nich, nie chcę ingerować, chyba że widzę zło. Znam twoją przyszłość i przyszłość tego kraju.

Jest 19.14. Znowu jedna po drugiej zmieniają się osoby na taborecie. Każdemu mistrz każe przychodzić do soboty.

— Niepotrzebne jest to dotykanie — tłumaczy mi. — Wystarczy, że

swoją myśl skieruję na choroby człowieka. Myśl jest potężną energią. Słowo też. Jeżeli ktoś dłużej przebywa w tym mieszkaniu, w zasięgu mojej aury, jest zdrowy.

Nim ostatni uzdrowiony tego dnia opuszcza progi domu Kacmąjora, ja wpraszam się do mamy Bogdana, pani Apolonii. W pokoju kilka niezbędnych, prostych sprzętów, telewizor i radio, a przede wszystkim — kotka MURKA i wyżeł SAFAR, który przybiega z przeciwległego końca miasta, od drugiego syna pani Apolonii, aż tutaj. Coś go tu ciągnie. Bogdan twierdzi, że to jego KARMA. Pani Apolonia jest pełna życia. Tak jak u Bogdana, uwagę zwracają jej bystre oczy, w których jest i łagodność, i stanowczość. Włosy ma spięte w koczek; ubiór sportowy. Rozmawiamy o tym i owym; o Krzemieńcu, z którego pochodzi, o tzw. sytuacji, no i o Bogdanie.

— Zaszokowana byłam, gdy zaczął leczyć. Ja mu mówię, że on jest schizofrenik. Mnie trochę to przeszkadza, bo jestem w tym wieku, w którym człowiek potrzebuje spokoju; ludzie twierdzą, że pomaga. Dziwne dziecko. W szkole podstawowej żadnych kłopotów. Dopiero potem się zaczęło. Nie potrafił się przystosować. Nie nadawał się do pracy zespołowej. Nie znośił monotonii. Malował, robił aplikacje. Samoistny talent. Tylko że ciągle przerzucał się z jednego zajęcia do drugiego. Bardzo dużo czytał, miał ogromną bibliotekę. Pierwsza żona zabrała te książki. Kochał muzykę. Ja przy nim odmładzałam się; musiałam, jeżeli chciałam go zrozumieć. On kochał Niemena, ja też go zaczęłam słuchać i spodobał mi się. Raczej wierzy ludziom. Nie jest mściwy. Zapomina wyrządzone przykrości.

Wchodzi Bogdan. Koniec na dzisiaj. Współpracownicy żegnają się i zostajemy sami. Bogdan jest w swoim żywiole. Szalona wyobraźnia, gra słów, apokaliptyczne wizje. Dla mnie są one porywające i niezwykle; dla Małgorzaty — już któryś raz z rzędu przesłuchiwaną płytą.

— Mówię ludziom: idźcie i bawcie się, pijcie, palcie, kochajcie się, żyćcie. Nie każe narzucać wózków pokutnych. Tutaj są wszyscy: Piłsudski, Mickiewicz, Słowacki... Chopina chcesz poznać? Poznasz. Mój kolega, który nigdy nie grał na fortepianie — potwierdza to pani Apolonia — siadł i zagrał wspaniałego mazurka. Pytam go: wiesz, kim byłeś przedtem. „Wiem — on na to — Chopinem!”

Otwiera Apokalipsę św. Jana i czyta po kolei znaczenia pieczęci; kończy na Nowym Jeruzalem. — Za dwa i pół roku to się wypełni — mówi zamykając Biblię. Co sekundę zmienia: raz czapka błazeńska, raz cylinder iluzjonisty, to znów toga proroka. Słuchając go — w jednym momencie ma się wrażenie, że sobie w żywe oczy kpi, ale już w drugim jego oczy mrozą człowieka do szpiku kości.

Zasypiam w małym pokoiku, zawalonym narzędziami i deskami. Śni mi się, że jestem myszą, potem Murką, która pożera mysz, następnie Safarem rozrywającym Murkę. Nagle staje się sędzią i skazuje kogoś na śmierć przez powieszenie. Skazańca podprowadzają pod pętlę. Odwraca głowę. Widzę swoją twarz. W tym domu sny są tak samo ważne, jak jawa.

dzień drugi — arteriosclerosis

Budzę się za piętnaście ósma. Mistrz jeszcze w łóżku z Małgorza-

tą. Schodzą się współpracownicy. Na korytarzu już gromadzą się chorzy. Śniadanie: bułeczki z masłem, żółtym serem i fromage. Papieros marki Dunhill, przypalony zapalniczką marki Ronson. Można zaczynać. Pytam, dlaczego nie nada temu, co robi, innej formy.

— Po co? Tutaj nie będzie żadnego cyrku. To jest normalny dom. Pewien facet też mi sugerował, że powinienem kupić sobie czarnego kota. Do tego jeszcze szklaną kulę, ziola, siaść jak bufon i zgrywać się. Nie! Są w tym kraju uzdrowiciele, którzy robią z tego tylko interes: zakładają złote księgi, każą pisać sobie listy dziękczynne. Mnie to nie interesuje. Ja leczę. Przy tym jem, przeklinam, palę, rozmawiam, bo jestem człowiekiem.

Pytania powtarzają się: — Ręce cierpią? Nogi bolą? — Diagnozy też: arteriosclerosis.

— Elbląg to miasto leżące na samych żyłach. Małe dzieci mają tu miażdżycę. Niemcy zmieniali tutaj swój personel administracyjny co kilka lat, ze względu na szkodliwy klimat, a stali mieszkańcy otrzymywali specjalny dodatek klimatyczny.

— Nogi bolą? — pyta kolejnej pacjentki.

— Nie! — odpowiada.

— Czasami bolą, prawda? — docieka Bogdan.

— Czasami tak, dzisiaj palec u prawej nogi bardzo mnie bolał.

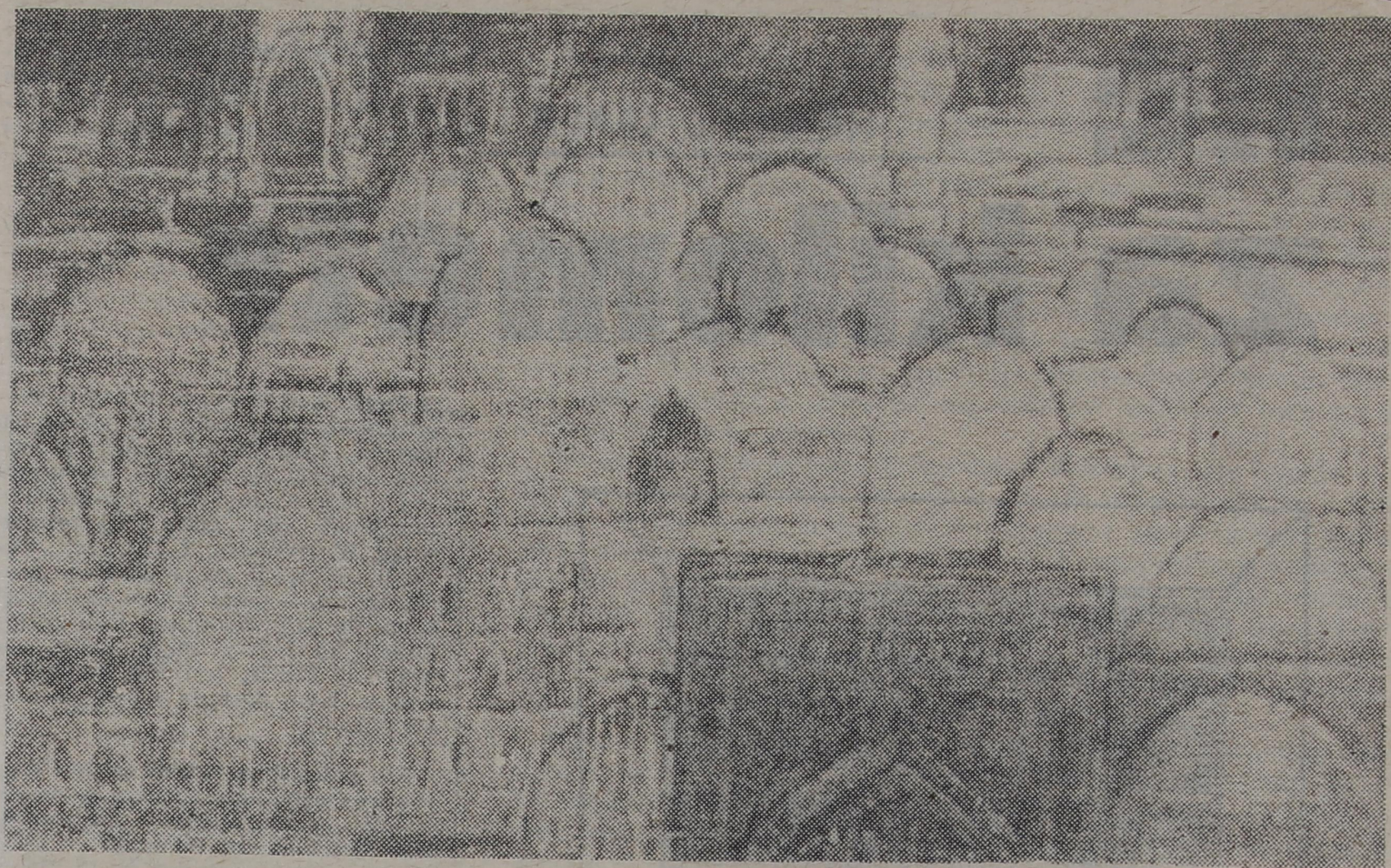
— No, widzi pani, początek Būrgera.

— O, Boże! — kobieta aż podskakuje na taborecie.

— Będzie pani zdrowa. Proszę bardzo — zaprasza następną osobę, starszą panią. — Głowa boli?

— Tak, bardzo, w dzień i w nocy — pada odpowiedź.





— Rece cierpią? — pyta dalej Bogdan.
— Tak — potakuje pani.

ADAM JERZY SOCHA

— Arteriosclerosis. Jemy zatruty chemią pokarm. Pijemy mleko z proszkiem „Ixi” — kończy Bogdan.
— O, nieprawda! — oburza się

zażywna kobieta, która właśnie weszła. — Pracuję w mleczarni i nie takiego się nie robi.

— Ja pracowałem też w mleczarni, to wiem — ripostuje Bogdan.
— Tylko czasami się sypie, jak jest mało mleka, a duże miasto trzeba zaopatrzyć — przyznaje niechętnie kobieta.

— I tak się wzajemnie trujemy — pointuje Bogdan.

Następna kobieta twierdzi, że nigdy nie chorowała. Według Bogdana, nie ma ludzi zdrowych.

— Przyszła zdrowa do doktora, a mózg zwapniały — śmieje się Bogdan. — A co tam na wardze siedzi? Raczek nieboraczek.

— Już kilka lat to mam — kobieta jest wstrząśnięta. Po niej stada jej dziecko. Bogdan każe odstawić je od gimnastyki, w sobotę kręgosłup ma być normalny.

— Choroby krążą — zwraca się do mnie — dlatego zapisz, że wolę, gdy przychodzą tutaj całe rodziny. Głowa boli? — zwraca się do kolejnej pacjentki, młodzieńczej dziewczyny w okularach. Ta milczy.

— Mów tak, żeby widziała twoje usta, ona nie słyszy — podpowiada Małgorzata.

— Rzeczywiście, bębni się u dziewczyny nie wykształciły — stwierdza i pisze na kartce: „Po tej kuracji będziesz przychodziła jeszcze aż usłyszysz”.

Dziewczyna potakuje, jest bliska płaczu.

Po jej wyjściu Bogdan, jakby usprawiedliwiając się, że dziewczyna od razu nie odzyskała słuchu po jego dotknięciu, mówi: — Gdyby usłyszała od razu, bębniłaby jej popękały od takiej lawiny dźwięku.

Godzina 12.00. Pojawia się kierowca firmy uzdrowicielskiej. Ruszamy w objazd do tych pacjentów, którzy nie są w stanie przyjść o własnych siłach.

Pierwsza wizyta w poniemieckiej kamienicy; dwoje samotnych starszków. On leży w łóżku, przeziębiony, ona — z chorobą Parkinsona. Do południa odwiedza ich kobieta z Czerwonego Krzyża, ale w popołudniu i nocą są zdani na własne, wątłe siły. Bogdan „kuka” oboje. Przy pożegnaniu serdecznie obejmuje staruszkę, dodając otuchy. Inkasuje 200 złotych. Po wyjściu każe mi zwrócić uwagę na obrazy w domach, które odwiedzamy. Jego zdaniem, tam, gdzie mieszkają dobrzy ludzie, stare sztychy zachowują żywe barwy.

Druga wizyta: kobieta po czterdziestce siedzi w wózku inwalidzkim. Jedną z nóg jest sparaliżowana. Wyrażnie się cieszy z przyjazdu Bogdana. Ten mówi jej, że jest już zdrowa, tylko się musi uczyć chodzić, gdyż przez osiem lat siedzenia mięśnie zwiotczały.

— Po pana wizycie przez trzy dni czuję się idealnie, a później znów źle — włącza się do rozmowy mąż chorej.

— Będzie dobrze; przecież tych palców nie przylepię do pani czoła. Pani jest zdrowa, tylko trzeba chodzić — całuje ją na pożegnanie. I zgadza się jeszcze raz przyjechać. Inkasuje 1000 złotych.

— Zapisz, że biedni dają dużo, a bogaci czasami setkę ścibną. Z psychologicznego punktu widzenia muszę brać, bo inaczej człowiek uważa, że go nie wyleczyłem. Mam też na utrzymaniu żonę, siebie i współpracowników. Chcąc służyć ludziom, muszę mieć wszystko, co potrzebne temu organizmowi i co konieczne do przenoszenia się. Nie może to być mały fiat, bo po czterech godzinach nie mógłbym wyjść z niego do pacjenta. Dlatego wynajmalem poloneza. To już nie te czasy, gdy Chrystus chodził po wozie.

Trzecia wizyta. Trzyletni chłopczyk o bezwładnych, suchych jak patyki, nogach (zmiażdżony rdzeń kręgosłupa) nie ukrywa radości z ujrzenia Bogdana. Widać, że bardzo czekał na jego przyjazd.

— Będę przychodził co tydzień — tłumaczy sympatycznej, młodej mamie chłopca. — Za trzy miesiące chłopak będzie chodził. On już jest zdrow, tylko musi nauczyć się chodzić — Inkasuje 500 złotych w kopercie.

Czwarta wizyta nie dochodzi do skutku. Mieszkanie zamknięte. Bogdan przypuszcza, że był krwotok i „rzeźnicy”, czyli lekarze, zabrali kobietę do szpitala.

— Choróbko się odkleilo i musi wyciec, a rzeźnicy tamują, następuje zakażenie krwi i koniec. Będzie następny trup; raz już tak było. Powiedzą, że Kacmajor nie leczy. Po cudzie wszystkie szpitale w tym kraju opustoszeją, a rzeźnicy pójdą do rzeźni — mówi z gniewem.

Piąta wizyta. Mieszkanie pełne bibelotów. Starsza kobieta z chorobą Bürgera.

— Zrobił mi się skrzep w nodze — tłumaczy reakcję, jaka nastąpiła po poprzedniej wizycie Bogdana.

— To dobrze, zaschnie, odpadnie i będzie pani zdrowa.

— Od jednego szpitala do drugiego wozilem — opowiada mi w przedpokoju historii choroby mąż. — Lekarze spisywali tylko wyniki i odsyłali dalej. Jeden w końcu powiedział, żeby przywieźć do niego, on obetnie nogę i cześć.

Koniec wizyt na dzisiaj. Jedziemy na obiad do „Karczmy Słupskiej”. Wcinamy pieczeń chłopską i do tego 25 gramów koniaku od Hodży. Pod czaszką przez cały czas świdruje myśl, czy ta nadzieja, którą pokładają w Kacmajorze sparaliżowani, nie okaże się bolesną złądą. Czy przypadkiem nie mam do czynienia z pokiernie inteligentnym szarlatanem, znakomicie znającym psychikę ludzką, który obczytał się w literaturze medycznych i gra w banque. Niewierny Tomasz urósł we mnie jeszcze bardziej, gdy Bogdan powiedział, że na tę niedzielę jedzie z Małgorzatą do Viktorii (zaprosił też szoferę z żoną).

— Wiesz, muszę uciec, żeby chociaż w niedzielę odpocząć. Chrystus też chronił się na Górze Oliwnej.

Wówczas, gdy byłem bliski zwątpienia, wydarzyło się to...

Fot. WOJCIECH SURAWSKI
Reprod. GABOR LÖRINCZY

cdn.

spiećcia



Na kurs języka niemieckiego, zorganizowany przez Dom Srodowisk Twórczych, w mieście wojewódzkim Łomży, zgłosił się już tylko jeden kandydat. Ot, nieuk!

★

Podstawą handlu w „Samie” na Górze Zawadzkiej jest chleb i mleko. Brak w nim najczęściej mleka i chleba. Handel w „Samie” na Górze Zawadzkiej ma więc rację bytu dzięki pensjom wypłacanym przez WSS „Społem” za ładne oczy. Ładne oczy lubią oglądać niebieskie migdały, a zatem nie cierpią pejzażu z but i flaszek, czyli je błyskawicznie zbywają. Dlatego — drogi Watsonie — podstawą handlu w „Samie” na Górze Zawadzkiej jest chleb i mleko.

★

Dwadzieścia kilka służbowych samochodów ruszyło z Łomży, by dowieźć ich pasażerów na rocznicowe uroczystości do Zambrowa. W tym czasie specjalnie dla delegacji przedstawiony autokar pokonywał trasę prawie pustą. Z drugiej Japonii nic, więc dlaczego by tak nie drugi Bangladesz?

★

W bufecie Urzędu Wojewódzkiego w Łomży równiejsi mogą od razu zrealizować całą kartkę na mięso i przetwory, równi — za ledwie na jeden kilogram lub mniej. Stoją więc w kilku kolejkach i dyskutują o równości cytując klasyków. Niestety, wybiórczo. Gdyby podeszli do rzeczy wszechstronnie, wiedzieliby, że w Raju też najpierw jest Bóg, po nim Piotr Klucznik i dalej długo, długo nic. Prawda, tow. Marks?

★

Dyrektor do spraw technicznych i socjalnych ŁZPB „Narew” przybył na posiedzenie Zespołu Uzgadniania Dokumentacji dostownie w ostatniej chwili: dzięki jego interwencji kanał odcinka ciepłowniczego dla Łomży nie przetrnie prywatnych działek, lecz pójdzie sąsiadującą z nimi ulicą. Nieprzychylni panu dyrektorowi interpretują jego nagłą aktywność na forum ZUD troską o własny, dyktorski, zagrożony rozkopem, ogródek. Jest to dywersja ideologiczna i wiemy, kto za nią stoi! Pan dyrektor uratował przecież także działki robotników i (jakby trzeba było) chłopów.

★

W Zabincu mieszka samotna spracowana kobieta: przed wojną służyła we dworze, z reformy skapnął jej tylko skrawek pod ogródek, więc by żyć, pracowała u bogatszych gospodarzy. Teraz, gdy służyć ani nawet pracować nie może, brakuje jej na chleb. „Gdyby mi kto pomógł, po nogach bym go całowała” — zapewnia. Urzędowo zrobiono dla niej wszystko, czyli wykazano, że nie się zrobić nie da. Ratujmy więc przynajmniej godność klasową! Lektor z odczytem raz w tygodniu jest w stanie uwolnić jej świadomość od poddańczo-feudalnego brzemienia! Bezduśne przepisy — lektora nie można opłacać dla jednej osoby — nie mogą być hamulą postępu!



Szanowny Panie Stanisławie. Nie wiem, czy Pan także uległ złudzeniu (chciałem napisać: naiwnemu złudzeniu, ale byłaby to tautologia), którego ofiarą padła pewna moja znajoma, mianowicie takiemu, że kryzys zrówna zdecydowaną większość obywateli i przynajmniej dystrybucja będzie sprawiedliwa. Ja przez czas jakiś podzielałem ten pogląd. Niestety, i w tej dziedzinie zabrakło nam konsekwencji — kryzys okazał się zbyt płytki (kryzys materialny, bo w dziedzinach tzw. duchowych dopiero zaczyna nabierać rozpędu), aby mógł być prawdziwie demokratyczny.

Przeciwnie, wszechogarniająca stała się spekulacja i nawrót do stosunków gospodarczych, charakteryzujących erę przedmarksowską, jak np. handel wymienny. Szczególnie dotkliwie daje o sobie znać ta cecha naszego gospodarstwa, a jej główne prawo brzmi: KTO POSIADA COS CO MA JAKĄKOLWIEK WARTOSC, MOŻE POSIADAC COS INNEGO, CZEGO JEST WIELOKROT. NIE WYŻSZA, pod warunkiem że wolno mu dyktować cenę na to, czym dysponuje. W tej sytuacji pozycję boga zajmuje wszelki monopolista (tu już wchodzimy w epokę młodomarksowską), zaś bożków — wszyscy, którzy zdolają wcisnąć się między boga a lud, czyli pośrednicy (formacja społeczna ponadczasowa, a więc, jak twierdzą niektórzy, należąca do praw natury).

Nie będę pisał ani o wielkim spekulancie, nietykalnym, bo państwowym (wiemy, że tworzą go ludzie w kierownictwie np. „Polmozbytu”, ministerstwie i różnych opiniujących oraz planujących komitetach; ludzie, którzy nie są upaństwowieni), ani o bazarhienach; chcę natomiast, aby pomógł pan rozstrzygnąć dylemat mojej znajomej.

Otóż będąc osobą w znacznym stopniu niezależną — pomyślała, że możliwości rozwijania i spożytkowania jej kwalifikacji zostały w Łomży wyczerpane i warto by na dalszy ciąg (przynajmniej przez czas jakiś życia i pracy ulokować się w większym miasteczku, na przykład w Warszawie.

Jej wahania na ten temat przechyliły w stronę wyjazdu — ukazujące się co pewien czas — ogłoszenia gazetowe o chęci zamiany mieszkania z Warszawy na Łomżę, gdzie moja znajoma dysponuje przyzwyczajonym całkiem mieszkaniem spółdzielczym. Pojechała więc do Warszawy, aby obejrzeć proponowane do zamiany lokale. Miała trzy adresy. Udała się tylko pod jeden. Z pozostałych zrezygnowała. Nie dlatego, że

ile za kilometr

HENRYK GAŁA

działa z jakąś nie spotykaną u niej nutą — że dla tych ludzi z Warszawy każdy kilometr oddalenia od adresu ich mieszkania wart jest 3450 złotych! A ja — ciągnęła z determinacją — przy dużej oszczędności i

pewnych dodatkowych pracach, mogę miesięcznie pokonywać jakieś 750 metrów. Rozumiesz? I gdybym nawet wyżyła się różnych wartościowych rzeczy, to i tak musiałabym zatrzymać się kilka kilometrów przed Wyszkowem. I koniec! Powiedz mi zatem, po co uczciwie pracować? Jakże mam prawo namawiać kogoś do uczciwej pracy, jeśli gratyfikacja za lepszy adres, jakiej żądali ci ludzie, jest tak bezczelnie wielka. I oni dostaną ją bez kiwnięcia palcem!

Nie potrafiłem skłecić jakiejś sensownej odpowiedzi; wreszcie, czując zupełną pustkę w głowie, zastosowałem starołacińską formułę: — Quid ad rem? Sama mówisz, że to lepszy adres, a za lepsze trzeba płacić.

— Oczywiście — odparła — ale nie tak dużo. W końcu mieszkanie nie jest ich własnością.

— Mieszkanie nie — mówiłem wolno — lecz adres tak. Oni cenią ten adres na tyle, a ty nie musisz im tego płacić.

— I dlatego mam siedzieć w Łomży, kiedy pod każdym względem byłoby lepiej, abym mieszkała tam? I ty to mówisz, humanista i pragmatyk?!

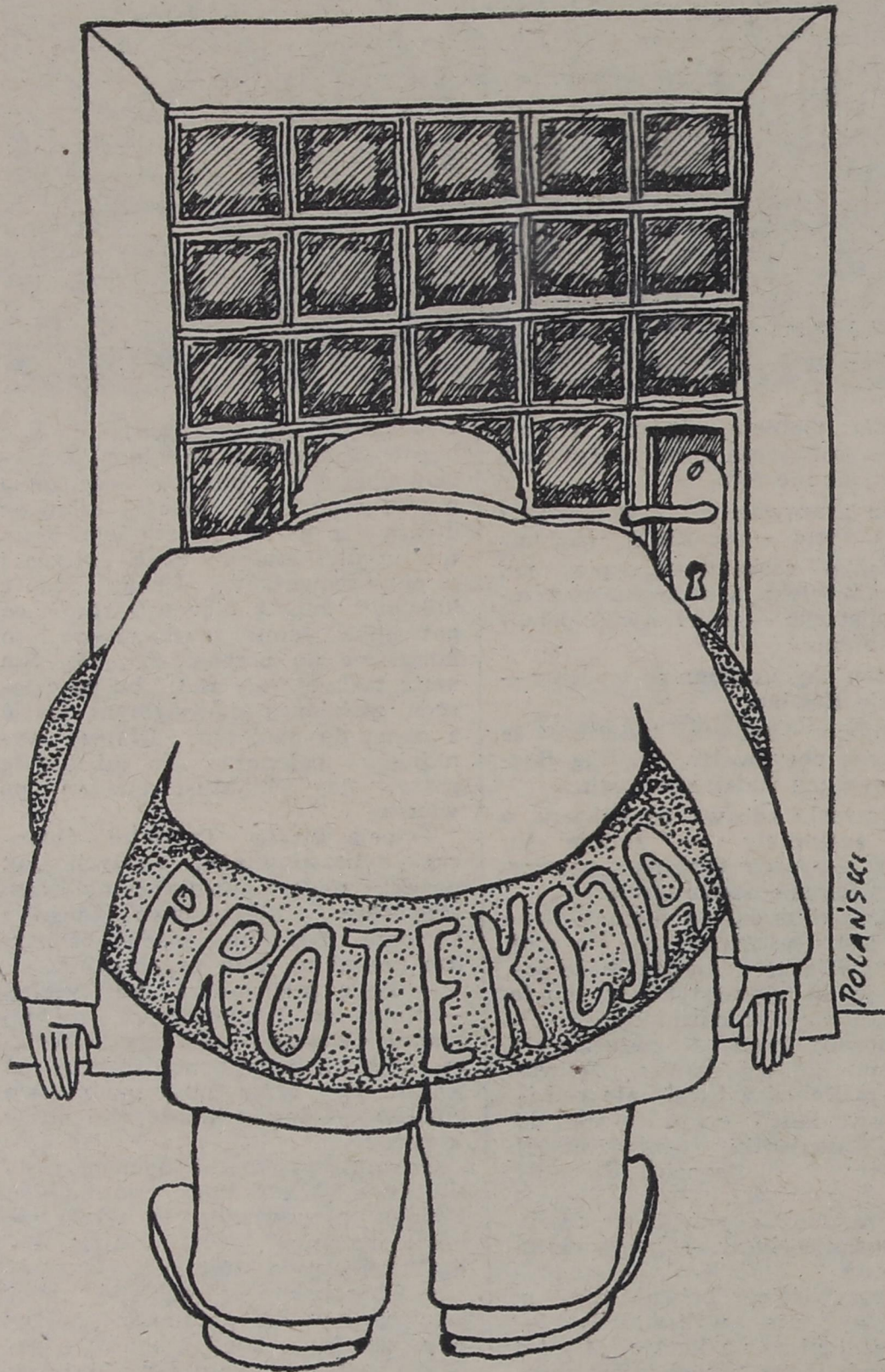
Zrobiło mi się wstyd. Pewnie dlatego moja próba pocieszenia zabrzała niedobrze: — Pomyśl, ile musiałabyś zapłacić, gdybyś mieszkała w Suwałkach.

— Cynik! — wykrzyknęła znajoma i pożegnała mnie.

Ona sobie ulżyła (tak myślę), a ja zacząłem się męczyć. Wiem, że powinienem potępić tych ludzi, ale nie potrafię. Swoboda decydowania o sobie, czyli wolność, była i jest rzeczą kosztowną, a jednocześnie nigdy nie uważałem za absolutnie prawdziwą zasadę, że oburzenie lub aplauz, czyli moralność, to tylko kwestia wielkości kwoty pieniędzy.

Czy Pan zna jakieś sensowne rozwiązanie tej i podobnych spraw? Ja, jeśli mam być szczerzy, wyjścia realnego i skutecznego nie widzę bo i jakie? Kredyty bankowe dla przenoszących się z miasta do miasta? Opopodatkowanie wjazdu do miejscowości atrakcyjnych, a bonifikaty dla chętnych do mieszkania w jakimś zadupiu? Docelowe bony oszczędnościowe, wysoko oprocentowane? Nacjonalizacja budownictwa?

Rys. MARKA POLANSKIEGO



już pod pierwszym pomysłem zrezygnowała z zamiaru. Przeciwnie. Wróciła do Łomży, przez całą drogę pomstując i licząc na przemian. Jeden i drugi zabieg okazywał się zresztą równie bezskuteczny.

— Kur zapiał — powiedziała do mnie przez telefon. — Czy ty wiesz,

ile dopłaty zażądali ode mnie za identyczne prawie mieszkanie? Też lokatorskie, tyle że w Warszawie?

Podaliśmy kwotę, która — z mojego punktu widzenia (czyli z szaleństwa za rzeką) — wydała się niemożliwie wysoka. Znajoma jęknęła nad moją ignorancją. — Obliczyłam — powie-

NA PIĘCIOLINII

koniunktura

do złoza), tworzą stare repy, oczytane, cwane i szczerwane, które mają trochę więcej inteligencji, umiejętności kompozytorskich i aranżacyjnych. Ich twórczość jest siłą rzeczy atrakcyjniejsza artystycznie i intelektualnie, ale nie ma ze szczerością nic wspólnego, przecież pan, który napisał słowa do przesławnej „Pepe wróć”, pije camusa, napoleona ewentualnie gorzałę, bo wino owocowe — jeśli pijał — pamięta sprzed dwudziestu laty z balu maturalnego.

Aż głupio patrzeć, jak starzy wyjadacze estradowi, z lysiejącymi już czaszkami i siwiejącymi włosami, podrygują trzymając w ręku gitary elektryczne, jak wiją się na scenie i udają punkowych maolotów, zmiażdżonych skutkami kryzysu gospodarczego. Lata całe spędzili w zachodnioeuropejskich knajpach, nawieźli sprzętu, i teraz bawią się w rocka. To są ci ludzie, o których przed laty pisano (czy nawet oni sami mówili w wywiadach), że jadą na Zachód zarobić forsy, kupić aparaturę, a po powrocie do kraju grać taką

muzykę, na jaką będą mieli ochotę. W podtekście chodziło oczywiście o muzykę bardzo ambitną.

Na przykład: Andrzej Jackowski, szef grupy „Maanam”, grał przecież kiedyś w zespole „Anawa”, potem w jazzowym — z hiduskim inklinacją — „Osianie”, a w tzw. międzyczasie wspierał „Maanam”, ale zupełnie innej orientacji; teraz gra rocka i wygina się w pałak.

Zbigniew Holdys zęby zjadł na różnych chałturach, krajowych i zagranicznych, towarzyszył wielu solistom; teraz udaje maolota i śpiewa o „Pepe”.

Z przerażeniem zobaczyłem, co zrobił ostatnio doskonały wokalista, niezwykle utalentowany, Stanisław Wenglorz. Po pewnym okresie milczenia zapuścił brodę, wdział na siebie zieloną „panterkę” i zmienionym głosem recytuje jakiś rockowy szlagier. Inna sprawa, że tego człowieka wykończyła nasza nieudolna krytyka muzyczna, bez przerwy przypisująca mu kopiowanie Niemena, jakby miało to jakieś znaczenie i jakby dwóch Niemenów przetrzała po-

trzeby naszego rewolucyjnego, oryginalnego i bogatego rynku muzycznego.

Inny weteran muzyki rozrywkowej, Seweryn Krajewski, nagle przesiadł się z gitary do elektrycznego fortepianu Fendera i — udając mistrza instrumentów klawiszowych — wyśpiewuje o papierze ściernym. Oczywiście, jego piosenka natychmiast wchodzi na Telewizyjną Listę Przebojów, bo jakże może być inaczej.

Jak tak dalej pójdzie, Niemen zastawi muzykę teatralną, zdejmie perukę, pomaluje się na różowo i zaśpiewa o braku rajstop w sklepach, zaś Waldemar Kocoń zarzuci te małe kasowe cklivostki, pomaluje się także i ryknie song o emigracji wewnętrznej człowieka, skutego i głami do narkotyków, pijanego od wywaru z maków, załamane perspektywą studiowania oraz kłopotów z własnym mieszkaniem, porzuconego przez narzeczoną (przewodniczącą związków zawodowych w fabryce), sfrustrowanego z powodu braku szmalu i poturbowanego przez siły w czasie demonstracji wolnościowej.

I to dopiero będzie prawdziwy, naturalny, oryginalny, polski, młody rock.

JAN JANUSZEK



ekolodzy biją na alarm

Zorganizowana w październiku br. przez białostocki Oddział Naczelnej Organizacji Technicznej konferencja naukowa miała wykrystalizować odpowiedź na pytanie: co z ochroną środowiska w warunkach samorządności i samofinansowania przedsiębiorstw.

Czy dała taką odpowiedź? Chyba tak, tylko że nie może ona satysfakcjonować ani ekologów, ani ekonomistów. Cztery specjalistyczne referaty pod wspólnym tytułem „Ekologiczne konsekwencje rozwoju społeczno-gospodarczego” nie zabrzmiły bowiem radośnie. I choć w przekonaniu wielu ludzi nasz region jest jeszcze względnie czysty — ekolodzy biją na alarm. A ekonomiści?

Referaty „ekonomiczne” były raczej optymistyczne. Przyznały, że „Reforma stworzy jeszcze większy nacisk na zadania produkcyjne”, a „osobisty motyw materialny wszystkich pracowników, od dyrektora poczynając — dążenie do maksymalizacji zysku — stanowić będzie na pewno praktycznie najistotniejszy czynnik systemu motywacji decyzji pobieranych w związku z kierowaniem przedsiębiorstwem”, ale uspokajają, że przecież mamy bardzo dobre przepisy, w tym, również prawnokarne, zaś „Reforma gospodarcza wprowadzi wiele istotnych zmian w organizacji władz zarządzających ochroną środowiska. Aktualnie dyskutuje się nad koncepcją powołania nowego ministerstwa, które by nadzorowało [...]”

Przedstawicielka jednego z największych trucicieli wód w województwie łomżyńskim użalała się w dyskusji, że mamy w Polsce rozbudowane służby ochrony środowiska, które — „zamiast zakasać rękawy i chronić środowisko” — tylko naliczają kary i ślą decyzje z nakazami i zakazami. Zakłady, miast zajmować się produkcją, do której zostały powołane, muszą zajmować się ochronieniem środowiska. Niech każdy trudni się tym, za co mu płać — grzmiała z przekonaniem

Trudno dziwić się owej przedstawicielce przemysłu (notabene: odpowiedzialnej w zakładzie za ochronę środowiska), że zajęła takie stanowisko, skoro w artykule „O planowaniu ekologicznym”, zamieszczonym w miesięczniku „Przyroda Polska” (nr 9/82), niejaki Z. Sobotkowski pisze: „[...] nie jest i nie może być tajemnicą, że nie jest w chwili obecnej możliwa rezygnacja czy ograniczenie celów gospodarczych, zaś podstawowym zadaniem wszystkich specjalistów zajmujących się ochroną środowiska oraz planowaniem społeczno-gospodarczym i przestrzennym powinno być stworzenie podstaw do minimalizacji szkód powstających w środowisku obecnie i w przyszłości oraz likwidacji zaburzeń już zaistniałych [...] przesłanki ekologiczne nie poparte w wystarczającym stopniu analizą kosztów muszą w konsekwencji ustępować przed nagłymi priorytetami ekonomicznymi [...]” Nic ująć nie dodać.

Mamy kryzys i niedostatek wszelkich dóbr. Lista „priorytetów ekonomicznych” jest olbrzymia. Niech więc przemysł spokojnie niszczy środowisko, niech truje, bo przecież musi produkować! A specjaliści-ochroniarze niech minimalizują szkody (czytaj: niech milczą i nie tworzą problemów) i likwidują zaburzenia, bo przecież od tego są. Może rzeczywiście mamy za dużo fałchowców od ochrony środowiska i dlatego jest tak źle?

tajny agent środowiska

Przed kilku laty uczestniczyłem w spotkaniu polskich ochroniarzy z — goszczącym w Polsce — amerykańskim profesorem, doradcą prezydenta Cartera ds. organizacji i zarządzania. (Na marginesie: spotkanie to zorganizował minister Ostapczuk, dyrektor Instytutu Organizacji i Zarządzania, zamiast dyskusji panelowej z trzema wiceministrami resortów nadzorujących ochronę środowiska, bo ci, w nawałe pilnych narad, nie mieli czasu na spotkanie z przedstawicielami swoich służb w terenie). Otóż ten specjalista od organizacji i zarządzania — zapytany o organizację służb ochrony środowiska w Stanach Zjednoczonych — nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Gdy ostatecznie zrozumiał, odpowiedział, że żadnych „służb” tam nie ma. W Nowym Jorku np. za ochronę środowiska odpowiada, między innymi, jeden z sekretarzy gubernatora, czyli że w tym wielomilionowym mieście

Wysoko rozwinięte kraje kapitalistyczne przeznaczają na inwestycje służące ochronie środowiska 1,5—2,8 proc. dochodu narodowego. U nas w ubiegłym dziesięcioleciu wypadło zaledwie 0,5 proc. Tam udział urządzeń „ochroniarskich” w ogólnych nakładach inwestycyjnych wynosił 6—10 proc., my przeznaczaliśmy na nie 1,8 proc., choć na lata 1976—80 „hojnie” planowaliśmy aż 4,3 proc.

W ramach trwającej dyskusji na temat wprowadzenia reformy gospodarczej słyszy się — liczne, niestety — głosy usiłujące przeciwstawić ekonomikę i gospodarkę ekologii i ochronie środowiska. Albo też odwrotnie, w zależności od tego, kto dyskutuje i argumentuje. Dyskusje te są oczywiście nieporozumieniem. Brzmiały tak, jak polemiki nad ważnością kończyn ludzkich: ręce czy nogi; co leczyć, a co amputować.

Mając na względzie nie tylko dzień dzisiejszy, ale i jutro — musimy sobie uświadomić, że żadnej alternatywy tu nie ma i być nie może. Tylko bowiem harmonijny rozwój gospodarczy, oparty o zdrowe zasady ekonomiczne, z pełnym i rygorystycznym przestrzeganiem praw ekologicznych, może uchronić nas od samounicestwienia. Wielu ludzi kierujących naszym życiem gospodarczym tej oczywistej prawdy jeszcze nie rozumie lub zrozumieć nie chce; tkwi w tym poważne niebezpieczeństwo nie tylko dla ekologii, ale i dla gospodarki.

Innym, również nieprawidłowym i szkodliwym, nurtem trwających dyskusji są próby rozgraniczania obowiązków. „My jesteśmy od produkcji dóbr, a wy od ochrony środowiska” — słyszy się liczne głosy przedstawicieli przemysłu przechodzącego coraz powszechniej na 3×S.

krokodyle i trucieli



przypadła na ochroniarstwo jakiś niewielki ułamek etatu. Czy więc amerykańscy kapitaliści są tak świadomi, że sami, z własnej, nieprzymusowej woli, przeznaczają na ochronę środowiska owe 10 proc. nakładów inwestycyjnych? Oczywiście, nie, ale tam o winie w jego zanieczyszczaniu decyduje sąd, a na straży czystości środowiska stoją biura adwokackie z armią tajnych prywatnych detektywów, zatrudnionych w zakładach będących potencjalnymi trucicielami. I cała ta armia ludzi działa bez skrupułów. Zawiniłeś — musisz płacić! Owa bezwzględność każe skrupulatnie liczyć

przypadła na ochroniarstwo jakiś niewielki ułamek etatu.

Czy więc amerykańscy kapitaliści są tak świadomi, że sami, z własnej, nieprzymusowej woli, przeznaczają na ochronę środowiska owe 10 proc. nakładów inwestycyjnych? Oczywiście, nie, ale tam o winie w jego zanieczyszczaniu decyduje sąd, a na straży czystości środowiska stoją biura adwokackie z armią tajnych prywatnych detektywów, zatrudnionych w zakładach będących potencjalnymi trucicielami. I cała ta armia ludzi działa bez skrupułów. Zawiniłeś — musisz płacić! Owa bezwzględność każe skrupulatnie liczyć

Okazuje się, że ogromne nakłady na ochronę środowiska szybko się zwracają. Np. koszty budowy instalacji do neutralizacji gnojowicy w drodze jej przerobu na biogaz w USA zwracają się w ciągu 3 lat. Zużycie biogazu produkowanego z odpadów rolniczych do roku 2000 ma w USA wynieść minimum 1 proc. całego zużycia gazu.

ściekowe witaminy

My również liczyliśmy. Dotychczas pamiętam ze studiów wzór na ekonomiczną efektywność inwestycji. Okres zwrotu nakładów inwestycyjnych „T” musiał być mniejszy od 6 lat. I pamiętam również, jak trudno było uzasadnić zastosowanie tego wzoru dla szkoły, żłobka czy domu starców, natomiast wobec zakładu przemysłowego — łatwo. Weźmy, dla przykładu, łomżyńskie zakłady ziemniaczane. To nie żaden przypadek, że nazwano je „krochmalnią”, bowiem produkują tylko krochmal i jego pochodne. Gdyby projektant opracowujący założenia techniczno-ekonomiczne chciał wykorzystać również inne składniki zawarte w ziemniakach, miałby kłopoty z o-wym magicznym wskaźnikiem „T”. Najłatwiej więc było zaprojektować i zbudować zakład nastawiony wyłącznie na krochmal i dopisać, że „ścieki z zakładu w ilości 18 600 metrów sześciennych na dobę wykorzystane będą rolniczo” (na łąkach wsi Mątwa i Kupiski). A metr sześcienny ścieków powstających przy produkcji krochmalu, czyli tzw. „wód owocowych”, zawiera jeszcze 2,37 kilograma cukrów, 0,88 kilograma białka, ponadto azot, fosfor, potas i inne składniki.

Można z tych ścieków odzyskiwać białko, jakościowo lepsze od sojowego, witaminę B12, drożdże paszowe, wreszcie — biogaz. Niemcy np. wykorzystują takie białko do produkcji wszelkiego rodzaju koncentratów spożywczych.

Ścieki z naszych zakładów odprowadzane są do rolniczego wykorzystania na 630 hektarach łąk, ale... Nadmiar białka i związków chemicznych w ściekach spowodował wypadanie traw, a od tych, które się utrzymują, krowy chorują, bo koncentracja związków chemicznych jest w nich zbyt duża.

W bilansie ekonomicznym mamy więc po stronie MA — zero, a po stronie WINIEN — kary za zanieczyszczanie środowiska, odszkodowania właścicielom łąk, bezproduktywność 630 hektarów „przenawożonych” ściekami, oraz bezpowrotną stratę tysięcy ton cennego białka. Ale o tym projektant zakładów wiedzieć nie chciał.

Przykład drugi. Zakład Mleczarski w Sokołach, ubiegając się o pozwolenie wodno-prawne na odprowadzenie ścieków do rzeki Awissy, podał, że całą serwatkę i tzw. pierwsze popłuczyny będzie rozwoził rolnikom do skarmiania. Nadmiar serwatki miał być wywożony na urzędowe wylewisko. No i przyszła reforma, koszty wożenia okazały się wysokie, więc serwatka, zamiast do koryt okolicznej nierogacizny, popłynęła do Awissy i zniszczyła całe życie biologiczne na znacznym odcinku rzeki.

W pierwszym przypadku konieczna była decyzja wojewody, nakazująca dyrekcji Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego w Łomży spórządzenie ekspertyzy techniczno-ekonomicznej na odzysk cennych surowców ze ścieków ziemniaczanych; w drugim, niestety, nie wystarczy kara naliczona zakładowi, bo ostatecznie produkcja mleczarska jest jeszcze dotowana przez Państwo. Musiał wkroczyć prokurator rejonowy w Wysokiem Mazowieckiem. Naśmiewa się jednak pytanie: czy aż prokurator ma uczyć niektórych naszych działaczy gospodarczych rachunku ekonomicznego?

HENRYK MILEWSKI
Fot. GABOR LORINCZY

11
KONTAKTY
28 XI 1982

reforma z bliska



W odpowiedzi na list czytelników („Kontakty” nr 16), dotyczący ich kłopotliwego powrotu z pracy i szkół na linii Szczuczyn—Stawiski, Przedsiębiorstwo Państwowej Komunikacji Samochodowej Oddział Towarowo-Osobowy w Łomży zawiadamia: obecnie obowiązujący rozkład jazdy autobusów w stosunku do roku ubiegłego został zmniejszony o 134 kursy. Powodem ograniczenia komunikacji był brak sprawnego technicznie taboru oraz trudności w pozyskaniu części zamiennych — ogumienia i akumulatorów, a także posiadanie limitu na materiały pędne.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że obecnie komunikacja autobusowa nie

nie, że „ograniczono komunikację z powodu braku sprawnego technicznie taboru i trudności w pozyskaniu części zamiennych” jest nam wszystkim znane. Obecnie brakuje również środków czystości, żywności i 1001 innych rzeczy, a w PKS-ie brakuje chyba logicznego myślenia. Chodzi nam jedynie o przesunięcie niektórych kursów, czego, niestety, dyrekcja PKS-u doczytać się, a ni uwzględnić nie mogła. Tym razem podajemy więc jasno: autobus relacji Łomża—Stawiski—Jedwabne, który do Szczuczyna przyjeżdża o godz. 7.20, przesunąć o 15 minut, au-

OD REDAKCJI: o pierwszym wyjaśnieniu dyrekcji PKS-u, dyrektor Henryk Wilczek napisał elegancko: „trudno dopatrzeć się staranności i wnikliwości w rozpatrzeniu sprawy”. Nas, po dodatkowym piśmie dyrektora Jerzego Brody, na taki wersal już nie stać: jest to ewidentny przykład biurokratycznego pozorantwa! Cóż bowiem dyrektor Broda wyjaśnia? Nie! Stali pasażerowie trasy Szczuczyn—Stawiski rozkład jazdy autobusów znają i bez jego uprzejmości; wiedzą też, że uruchomienie dodatkowych kursów jest niemożliwe. Dlatego dwukrotnie postulowali — czego dyrekcja PKS-u z maniakalnym uporem nie dostrzega — przesunięcie istniejących połączeń na dogodniejszy dla nich czas: zbieżny z wyjazdem do szkół i pracy oraz powrotem do domu. Należało więc odpowiedzieć: czy jest możliwa korekta rozkładu jazdy dwóch autobusów zgodnie z postulatem pasażerów; jeżeli nie, to dlaczego; jeżeli tak — przystąpić do działania. I tego oczekujemy. Dla jasności: dalsze dywagacje na temat opon, akumulatorów, cytowanie aktualnego rozkładu jazdy, przekonywanie o niemożności uruchomienia dodatkowych autobusów — nas nie interesują.

☆

W odpowiedzi na notatkę zamieszczoną w „Śpięciach” („Kontakty” nr 31) w sprawie rzekomego niezakupienia przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w

Łomży wydawnictwa „Łomża i okolice”, niniejszym informuję, że faktycznie zamówiono w miejscowym „Domu Książki”, z myślą nie tylko o Łomży, ale i o potrzebach bibliotek publicznych całego województwa, 100 egzemplarzy tej pozycji, a otrzymano 131. Na nieść szczęście autora tej notatki i jego informatora, pracownicy Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Łomży wiedzą, co kupować i nie muszą być pouczeni przez wątpliwego znawcę co do doboru tytułów.

Poza tym pozwalam sobie zauważyć, że każdy dziennikarz powinien posiadać niezbywalną cnotę etyki zawodowej i że autorowi notatki — jak widać — natura tego wielkiego daru poskąpiła. Niech go przynajmniej będzie stać na ujawnienie swego nazwiska, niech czytelnicy wiedzą, czym tekstem nie ufać.

JÓZEF PAŁKA
dyrektor
Wojewódzkiej Biblioteki
Publicznej w Łomży

OD REDAKCJI: fakt, wśród Czytelników korzystających z księgozbioru Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej może się trafić również „wątpliwy znawca”. Dlatego tym bardziej wierzy informacjom fachowca z Biblioteki, a ten stwierdził: — „Katalog zabytków sztuki w Polsce. Łomża i okolice” nie został przez nas zakupiony.

Zwracamy więc akapit, w którym Pan „pozwolił sobie zauważyć” kilka interesujących refleksji. Mogą się przydać na własnym podwórku.

Fot. GABOR LÖRINCZY

co po krytyce?

zaspokaja wszystkich potrzeb pasażerów, ale nie posiadamy żadnych możliwości dokonania zmian na wymienionej linii.

Mgr inż. WŁODZIMIERZ LACH
zastępca dyrektora
Przedsiębiorstwa PKS w Łomży

Odpowiedź Przedsiębiorstwa PKS Oddział Towarowo-Osobowy w Łomży w ogóle nie nawiązuje do spraw podniesionych w liście czytelników. Osobiście uważam, że adresaci wniosków powinni je załatwić, a nie udzielać ogólnikowych odpowiedzi. Obowiązek załatwiania wniosków na organy państwowe nakłada Uchwała nr 132 Rady Ministrów z 28 listopada 1980 roku w sprawie organizacji przyjmowania, rozpatrywania i załatwiania skarg i wniosków. Uchwała ta mówi między innymi, że „organy państwowe oraz organy organizacji społecznych są obowiązane rozpatrywać zgłoszone skargi i wnioski i załatwiać je w ramach swojej właściwości” (§ 2 pkt. 1). „Zgłoszone skargi i wnioski powinny być rozpatrywane i załatwiane z należytą starannością, wnikliwie i terminowo” (§ 15 pkt. 1).

W treści odpowiedzi Przedsiębiorstwa PKS Oddział Towarowo-Osobowy w Łomży, podpisanej przez dyrektora Włodzimierza Lacha, trudno dopatrzeć się wnikliwości i staranności w rozpatrzeniu sprawy. Czytelnicy w swoim liście nie domagają się dodatkowych autobusów, zgłaszają tylko uwagi do rozkładu ich kursowania. A dyrektor Lach nie informuje pasażerów o tym, dlaczego rozkład zmienić nie można. Uważam, że do zmiany rozkładu jazdy autobusów i dostosowanie go — chociaż w minimalnym stopniu — do potrzeb społeczeństwa, nie zawsze są potrzebne dodatkowe opony, akumulatory czy paliwo. W trudnych warunkach szczególnie ważna jest organizacja pracy. Więc jeżeli ludzie wskazują możliwość jej usprawnienia, należy wnikliwie przeanalizować wszystkie propozycje i z nich skorzystać.

PKS jest jednostką usługową i na opinii usługobiorców powinno Przedsiębiorstwo zależeć.

Informuję również, że formą odpowiedzi na list czytelników zainteresowałem rzeczownika Kontroli Społecznej WKKS, który interweniował u dyrektora naczelnego PKS Oddział w Łomży. Dyrektor Jerzy Broda zapewnił o ponownym rozpatrzeniu sprawy, o którego wynikach powiadomi Redakcję i czytelników.

HENRYK WILCZEK
dyrektor Biura
Wojewódzkiej Rady Narodowej
w Łomży

Pprzedsiębiorstwo PKS Oddział Towarowo-Osobowy w Łomży dodatkowo wyjaśnia, iż z powodu braku możliwości uruchomienia dodatkowej komunikacji na linii Szczuczyn—Stawiski, posiadające bilety miesięcznych — uczniowie — mogą wracać ze Szczuczyna, po zakończonych zajęciach lekcyjnych, o godzinie 14.30, zaś pracownicy o godzinie 16.20. Ponadto istnieje komunikacja w godzinach późniejszych — o 18.40 i 19.20.

Mgr JERZY BRODA
dyrektor Oddziału
Towarowo-Osobowego PKS
w Łomży

Lakoniczna odpowiedź dyrekcji PKS w Łomży nie zadowala pasażerów, korzystających z usług przedsiębiorstwa. Stwierdze-

tobus relacji Łomża—Stawiski, odjeżdżający ze Szczuczyna o godz. 11.00, przesunąć na godzinę 15.30 lub autobus z godz. 18.40 na godz. 15.30. Autobusy kursujące przed godziną 8.00 i po godzinie 15.00 zawsze przewoziły najwięcej pasażerów, udających się do pracy lub z niej wracających. W związku z tym nie powinny one podlegać likwidacji, można natomiast zlikwidować kursy między godziną ósmą a piętnastą.

**I. PŁOCHOCKA,
E. MĘCZKOWSKA,
W. OLSZEWSKA,
T. BARASZKIEWICZ
R. KALISZEWSKI,
J. CHODNICKA,
K. WOJSŁAW, A. KIJANOWSKI**
oraz osiem podpisów
nieczytelnych

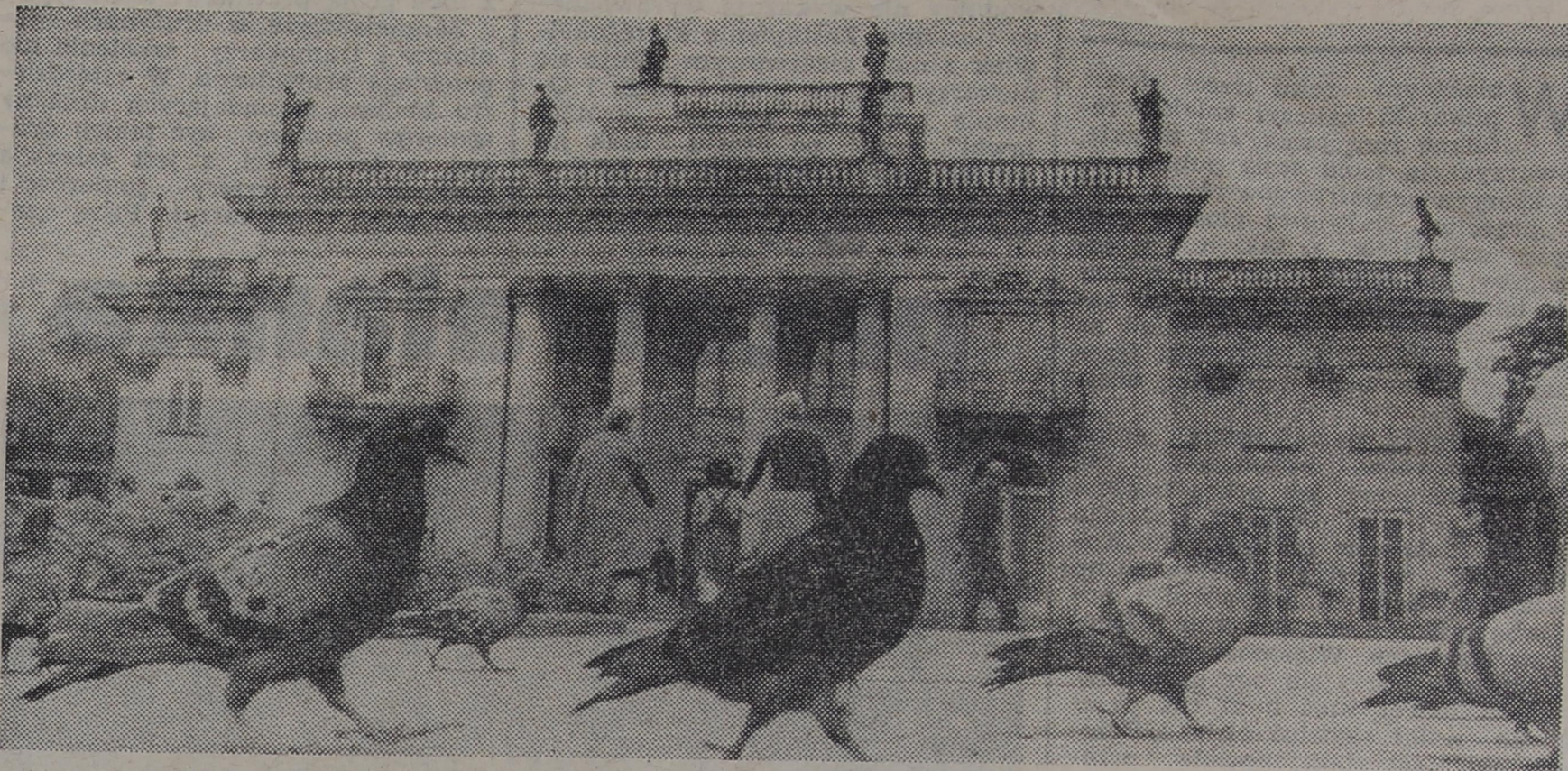


Kryzys mieszkaniowy nękał już naszych przaprzodków. Kiedy w jaskiniach zabrakło miejsc, zaczęło się wielkie budowanie. Każdy wznosił sobie dom na własną rękę. Na obwodzie koła wbijał w ziemię pewną ilość wiotkich prętów — trzciny, młodych drzewek, łoziny — i oblepiał gliną lub mułem. W ten sposób powstawały koliste lepianki, które — np. w Iraku — buduje się do dziś. Ponieważ trzcina była materiałem niezbyt trwałym i właściciel lepianki musiał wielokrotnie w ciągu swego życia wznosić dom od podstaw, przy większych skupiskach ludzie tworzyli specjalne grzędzawiska, by mieć ją pod ręką.

Wzrost dobrobytu przyczynił się do powstania pierwszych domów z cegiel. Wytwarzana była z gliny zmieszanej z sietką, w rozmaitych rozmiarach i kształtach, zależnie od przeznaczenia. Za zaprawę murarską służył naturalny asfalt, wydobywany na polach naftowych w Iddu (dzisiaj Hit). Domy bielono wapnem, a czasami — dla ozdoby — gipsem. Drzwi wejściowe (ramy miały czerwone dla odstraszania demonów) obracały się na dwóch pionowych sworznach. Dolny tkwił w kamiennym progu, górny utrzymywał w odpowiednim miejscu skórzany rzemień.

Stropy budowane były zazwyczaj z pni palmowych, opartych końcami na przeciwnych murach. Przykrywano je palmowymi liśćmi, na których usypywano warstwę ziemi, ubijanej przy pomocy kamiennego walca. Wielu mieszkańców zakładało sobie na tak skonstruowanych dachach ogródki warzywne. Chyba

lepianka z ogródkiem



również dla przytrzymania korzeniami roślin ziemi, bowiem po każdym obfitym deszczu trzeba ją było wyrównywać walcem.

Kiedy domy stawały się większe, z zabudowań tworzone kwadraty; ich okna wychodziły na dziedziniec lub ogród. Ceglany mur zewnętrzny nie miał, z wyjątkiem drzwi wejściowych, żadnych otworów. Z dwóch powodów: ślepe ściany chroniły przed włamywaczami, jak też przed oczami poborców podatkowych i agentów królewskich. Bowiem znacz-

ny dorobek kupca stawał się łatwym kąskiem despotycznych władców, którzy na podstawie wymyślonych oskarżeń skracali bogacza o głowę i zagarniali jego majątek.

Układ budynków skierowanych do wnętrza dziedzińca miał również i tę zaletę, że dawał właścicielowi cienie schronienie. A upały były wówczas wielkie — jak głoszą mądre księgi: „kiedy słońce jest najgorętsze, w południe, jaszczurki i węże giną śmiertelnie porażone

na środku ulicy, zanim zdążą przebiec na jej drugą stronę”.

Domy rzadko budowano z wypalanej cegły. Kiedy nadchodziła pora deszczowa, właściciel miał pełne ręce roboty: starał się naprawiać swój dom przed nastaniem ulewy. Gdy siedziba już się lekko postarzała, zadanie takie stawało się z reguły niewykonalne. Zabierał więc cały swój dobytek, burzył mury i — na gruzach starego — wznosił dom nowy.



sztuka gotowania

Książki kucharskie, które dziś mają tak wielu czytelników, ukazywały się już w bardzo odległych czasach. W IV w. p.n.e. Grecy chlubil się pierwszą z nich. W Rzymie najważniejszą książką opisującą sztukę gotowania było dzieło Apiciusa „De recoquinaria”.

Francuzi, twórcy sztuki kulinarnej, wydawali w dawnych czasach tyle książek o tej tematyce, że można by je złożyć w pokaźną bibliotekę. Ale receptury w nich zawarte, obliczone bardziej na podziwianie

niż urzeczywistnianie, były bardzo skomplikowane i kosztowne.

Prawdopodobnie pierwszym restauracjom (słowo „restaurant” do XVIII w. znaczyło wzmacniający, o-rzeźwiający napój) zawdzięczamy wykorzystaniu sztuki gotowania w sposób racjonalny i masowy. Pierwszą restaurację prowadził monsieur Boulanger, który w 1765 r. ustawił przed swym domem stoły; przy nich — za niewielką opłatą — można było wypić filiżankę znakomitego rosołu.

porwać wzdłuż włókien). Na rosół wołowym (może być z kostki koncentratowej) przyrządzić wywar z zielonej włoszczyzny (10 kg), natomiast poszatkowane na tarce marchew, pietruszkę i seler (30 kg) uduśić w małej ilości wody z łyżką tłuszczu. Zmieszać paski z kalmarów, wywar (w ilości dowolnej, w zależności od tego, czy chcemy gęstsze, czy też rzadsze flaki) oraz miękkie już jarzyny, razem zagotować, przyprawić solą, gałką muszkatołową, papryką, pieprzem, imbirem i majerankiem oraz zagęścić zasmażką. Podawać w miseczkach — z bułką lub chlebem.

TANIE DANIE

flaki z kalmarów

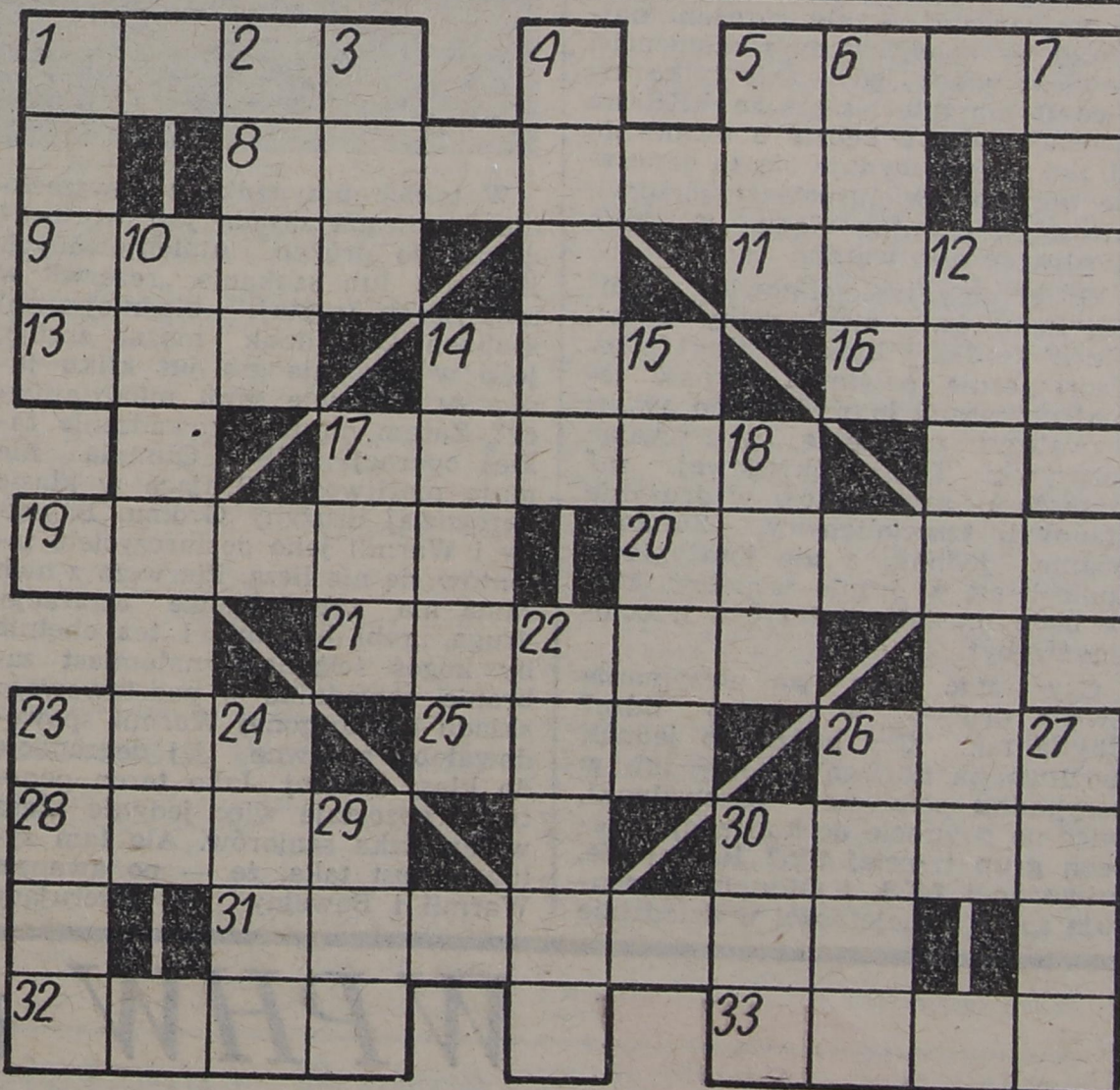
Kilogram kalmarów odmrozić, odblonować i umyć, a następnie trzy razy odgotować w zmienianej wodzie (muszą stracić słodkawy smak). Jeszcze raz dokładnie je obmyć z resztek błony i pokroić w paski (lub

guma balonowa

Dostarczycielem surowca na gumę do żucia jest wiecznie zielone drzewo, rosnące w strefie tropikalnej, głównie w Meksyku, Indiach a także na Filipinach. Nazywa się ono *sapodilla* lub też pigwica właściwa. Guma występująca w roślinie nie jest przylepna, a przy tym — miękka i ciągliwa. Surowiec do wyrobu gumy, nazywany *chicle*, miesza się z

cukrem i wonnymi olejkami. *Chicle* otrzymuje się przez nacinanie kory drzew. Cały sok zawarty w roślinie wypływa na zewnątrz już po upływie dwóch — trzech godzin. Ale jej to nie szkodzi. Po trzech latach można znów naciąć pień w kształcie litery „V” i zbierać do naczyń lub na duże liście wypływający obficie płyn. Jedno drzewo daje go przeciętnie 3—4 kilogramy.

Sapodilla, oprócz *chicle*, dostarcza jeszcze słodkich owoców, wyglądem przypominających jabłka, o smacznym, przezroczystym, galaretowatym miąższu.



POZIOMO: 1) pęk żółtego zboża związany powrośsem, 5) w stajni lub na ringu, 8) zagłębienie w którym osadzony jest ząb, 9) pszczełi smakołyk, 11) imię żeńskie lub kwiat z kolcami, 13) anglosaska jednostka powierzchni gruntów, 14) tam odsyła się niesforne ucznia, 16) boa, pyton, anakonda, 17) prawe ujęcie, ramię Wisły, 19) wierzchnie okrycie, 20) kraj, ziomek, 21) dzielnica Warszawy znana z Fabryki Samochodów Osobowych, 23) artretyzm, 25) nieduży kawałek czegoś jadalnego, 26) koszykarzki surowiec, 28) metalowe okucie wygięte w podkowę, przymocowane do liku żagla trójkątnego podnoszonego na sztagu, 30) znany zachodniemiecki samochód osobowy, 31) część ogrodu obsadzona kwiatami z pozycji 11 poziomo, 32) opad atmosferyczny, 33) najważniejsze miasto, port i ośrodek gospodarczy Jemenu Pd.

PIONOWO: 1) wynik dodawania, 2) jezioro, 3) część rośliny składająca się z łodygi i liści, 4) obelisk, pomnik, 5) duży, gęsty, stary las, 6) metal mający zastosowanie w reaktorach atomowych, 7) próbny okres pracy, 10) sztuka artystycznego układania kwiatów, 12) domaganie się, 14) w butelce lub na szosie, 15) rodzaj balkonu, 17) w parze z widelcem, 18) głębia jeziora, rzeki, 22) część marynarki, 23) długi, gruby kij drewniany, 24) afrykańska metropolia, 26) owoce spadłe z drzewa, 27) niezbędny do życia, 29) pierwiastek chemiczny, lekki metal alkaliczny, 30) kościuszkowska rzeka.

„HCL”
Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.



W biejącym roku trzeci front piłkarski zaliczył kolejną reformę rozgrywek. Jak zwykle, towarzyszyła temu seria publikacji, w których rozpatrywano różne „za” i „przeciw”. Najwięcej głosów „za” było, oczywiście, z takich województw, jak łomżyński. Nie należy się temu dziwić, bo również w małych miastach kibice spragnieni są dobrego futbolu, a rozgrywki trzeciej ligi stanowią namiastkę wielkiej piłki.

W kwestii powiększenia grona trzecioliговców, argumenty „za” były takie same, jak przed paroma laty, gdy liczba drużyn trzeciego frontu miała ulec zmniejszeniu. Konieczność reformy motywowano oszczędnościami finansowymi i potrzebą podniesienia poziomu piłkarstwa polskiego. Większość działaczy argumenty przyjęła bez protestów, a jeśli nawet ktoś miał coś przeciwko, wołał siedzieć cicho. „Przewalanka” satysfakcjonowała przeciętnych działaczy z małych miasteczek, a takich jest w naszym kraju wielu. Argumentem „przeciw” nie mogło być to, że wiele drużyn odstaje poziomem od trzecioliigowej czołówki, chodziło wszakże o równanie do najlepszych.

W przypadku naszej grupy trzeciej ligi (stało się to widoczne podczas rozgrywek) o żadnym równaniu do liderów — Jagiellonii, Mazura i Gwardii — nie było mowy, a różnica klas dzieląca czołówkę od pozostałych bardzo często znajdowała odzwierciedlenie w wynikach uzyskiwanych przez pozostałe drużyny w konfrontacji z wielką trójką. Czasami tylko Sniardwy i ŁKS potwierdzały swoje trzecioliigowe aspiracje, chociaż łomżynianie mieli dwie sromotne wpadki: z Jagiellonią w Białymstoku oraz Gwardią w Łomży. Pierwsze niepowodzenie można łomżyniakom darować, bo to i w jaskini lwa, i z pretendentem do drugiej ligi. Klęska z Gwardią nastąpiła jednak pod koniec pierwszej rundy rozgrywek, gdy ŁKS zdobył miano niebezpiecznej drużyny, ponadto pojedynek z piłkarzami ze Szczytna miał zadecydować o tym, komu przypadnie wysoka, trzecia lokata.

Zimny prysznic przyszedł chyba w najbardziej — ale zarazem najmniej — spodziewanym momencie, bowiem wtedy, gdy (nie tylko kibicom) marzyło się, że ŁKS na wiosnę walczyć będzie o awans do II ligi. Teraz wydaje się to śmieszne, ale znam wielu poważnych ludzi, którzy w dalszym ciągu w taką możliwość nie wątpią.

Drugi nasz trzecioliigowiec, Olimpia Zambrów, miał słaby start, niezły środek i katastrofalny finisz. Teoretycznie powinien wypaść lepiej niż zespół łomżyński, bo awans wywalczył zasłużenie, wygrywając rozgrywki klasy okręgowej, zaś większość zawodników w drużynie stanowili trzecioliigowcy. Zambrowianie jednak, a nie łomżynianie, znaleźli się w gronie zespołów, które będą musiały walczyć o trzecioliigowy byt.

Czy stać nas na utrzymanie dwóch drużyn w trzeciej lidze? Chyba tak. Czy będzie to jednak możliwe na dłuższą metę, lub w przypadku ponownej przewalanki, więc po powrocie do koncepcji czterech grup trzeciej ligi? Raczej nie, mimo że i ŁKS, i Olimpia prezentują spore umiejętności w dziedzinie

piłkarskiego rzemiosła. Drużyny w poszczególnych fazach rywalizacji przechodziły wahania formy, a zawodnicy nie wykazują wyrównanego poziomu. Zastąpienie któregoś z nich rezerwowym odbija się niekorzystnie na grze. I ŁKS, i Olimpia mają tak zwane „krótkie ławki”, czyli po prostu brak im wartościowych dublerów. W ŁKS-ie nie ma nawet rezerwowego bramkarza!

rozgrywkom. Orzeł nie ma z kim grać. Pozostałe drużyny z ligi wojewódzkiej są na dorobku, a w wielu z nich grają prawdziwi amatorzy.

Zorganizowane w drużynach juniorów i trampkarzy szkolenie nie przebiega prawidłowo. W czterdziestu klubach posiadających drużyny seniorów powinno być takich drużyn ze trzydzieści, a jest zaledwie siedemnaście (cztery juniorów i trzynaście trampkarzy). Piszę „za-

przewalanka



W takich przypadkach powszechnie stosowaną zasadą jest wprowadzenie do drużyn utalentowanych juniorów lub szukanie „rezerw” w mniejszych (czytaj: biedniejszych) klubach. Co jednak można zrobić, jeśli w drużynie gra już kilku juniorów i prawie sami młodzieżowcy? Zatem na przeprowadzenie takiej operacji ŁKS i Olimpia nie mają możliwości. Grające w klasie okręgowej drużyny Gromu, Bawelny i Warmii jako dostarczyciele talentów się nie liczą. Pierwsza z nich sama ma trzecioliigowe aspiracje, druga „robi bokami” i też chętnie by kogoś ściągnęła, natomiast zabranie zawodnika z podstawowego składu odmłodzonej Warmii spowodowałoby zapewne jej degradację do klasy niższej. Jako teren penetracji pozostaje więc jedynie klasa wojewódzka seniorów. Ale tam sytuacja jest taka, że — po awansie Warmii i Bawelny — liderujący

ledwie”, ale przecież i z utrzymaniem tych siedemnastu są poważne kłopoty. Pominawszy kwestię, gdzie szkolić i za co, pozostaje pytanie: kto ma to robić? Dotyczy ono szczególnie maleńkich, w większości jedno- i dwusekcyjnych, klubów; nie każdy z nich stać na zatrudnienie, choćby na pół etatu, wykwalifikowanego instruktora, a jeśli już stać — nie ma kogo zatrudnić. Z konieczności (a często — z zamilowania) szkoleniem zawodników zajmują się kolega z drużyny. Aż dziw bierze, że klasa wojewódzka seniorów w łomżyńskim liczy dziewięć drużyn!

Pasjonatom, którzy wszystko trzymają w garści, należą się stokrotne dzięki za to, że z własnej i nieprzymuszonej woli, często kosztem życia rodzinnego, krzątają się koło sportu.

WYMIATA CZ
Fot. GABOR LÖRINCZY

wypisy z historii

* 25 XI 1572 r., w czasie bezkrólewia, w województwie mazowieckim działały ziemskie sądy kpturowe. Te tymczasowe sądy szlacheckie, zwolywane przez sejmiki, miały prawo wymierzać sprawiedliwość w sprawach zaburzeń publicznych i wykroczeń kryminalnych. Po śmierci Stefana Batorego wprowadzono zmiany w sądownictwie kapturowym. W skład takiego sądu wchodził starosta, podstarości, sędzia i podsędek ziemski oraz trzech deputatów szlacheckich, których liczbę ciągle zwiększano. Henryk Walezy w 1574 r. zawiesił początkowo wyroki sądów kapturowych ziem wiskiej i łomżyńskiej, potem decyzję swą cofnął.

* 21 XI 1655 r. ziemia łomżyńska, jako jedna z ostatnich na Mazowszu, poddała się Szwedom.

* 22 XI 1944 r. dramatem Żeromskiego „Uciekla mi przepióreczka” rozpoczął działalność Teatr w Białymstoku.

* 25 XI 1945 r. z rąk bandy reakcyjnego podziemia zginął Stanisław Kania, komendant powiatowy MO w Wysokim Mazowieckim, b. oficer I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, dowódca kompanii partyzanckiej AL, po wyzwoleniu — członek Komitetu Powiatowego PPR w Wysokim Mazowieckim.

* 25 XI 1945 r. z rąk bojówki NZW (Narodowe Zjednoczenie Wojskowe) zginął około Kobyłina (powiat wysokomazowiecki) Zygmunt Kościński, pełnomocnik powiatowy i świadek rzeczowych na powiat wysokomazowiecki, członek KW PPR, były sekretarz KM PPR w Białymstoku, wieloletni działacz robotniczy, były więzień Berezy Kartuskiej. Wraz z nim zginęli: Józef Załęcki, komendant miejski MO w Wysokim Mazowieckim, Antoni Dąbrowski, członek ZP ZSCh oraz kapral Wojska Polskiego, Franciszek Malinowski.

* W listopadzie 1945 r. w Grajewie powołano Zarząd Powiatowy SL, którego prezesem został Franciszek Zabielski, a wiceprezesem — Edward Zych.

* 26 XI 1947 r., przy Towarzystwie Teatrów i Chórów Ludowych w Białymstoku, powstał zespół lalkarski, z którego wywodzi się obecny Białostocki Teatr Lalek. Jego organizatorem był Piotr Sawicki, działacz społeczny. W 1955 r. teatr przyjął nową „Świerszcz”, a w 1960 r. został upaństwowiony.

* 25 XI 1948 r. powstały pierwsze na Białostocczyźnie Gminne Kasy Spółdzielcze; do końca roku było ich 50.

WPHW w ŁOMŻY

informuje

że w dniu 12 listopada 1982 r.
został otwarty sklep
kosmetyczny

„E W E L I N A”

przy ulicy Swierczewskiego 12
ZAPRASZAMY w godz. 10–18





potęga rozumy

o głupstwie i rozmaitych jego odcieniach

GLUPIUTENKI charakteryzuje się twarzą osowiałą o wyrazie owczym. Jest łatwowierny. Nie lęka się grożącego niebezpieczeństwa. Za podstawę dobrego samopoczucia uważa pełny brzuch.

GAP, zwany czopem, wszystkiemu się dziwi, a słucha z otwartą buzią. Wierzy w kłamstwa i zmyslenia. Jest tępy w nauce. Lubi towarzystwo.

GLUPIEC PRZESADNY wierzy w gusła, upiory, sny, czary, uroki i ich zamawianie. Filozofów uważa za bezbożników.

GLUPIEC SPRZECIWIĄJĄCY SIĘ wątpi we wszystko. Nie zna dialektyki. W konwersacji jest uciążliwy.

GLUPIEC ZAPYTUJĄCY lubi przerywać najciekawsze opowieści pytaniami bez sensu. Nieznośny dla otoczenia.

GLUPIEC PRZEU CZONY jest naukowcem amatorem. Pracuje nad demonologią, chiromancją i kapnomaacją. Zna się na magii, astrologii i alchemii. Szuka kamienia filozoficznego. Srebro chce zamienić w złoto. Odkrył siedlisko duszy.

GLUPIEC DOWCIPKUJĄCY na początku opowiadania przez siebie dowcipu przedstawia jego zakończenie i sam się śmieje.

GLUPIEC PLACZLIWY jest łasy na plotki i łakomy na pochwały. Lubi innych obgadać. Przykry dla towarzysza.

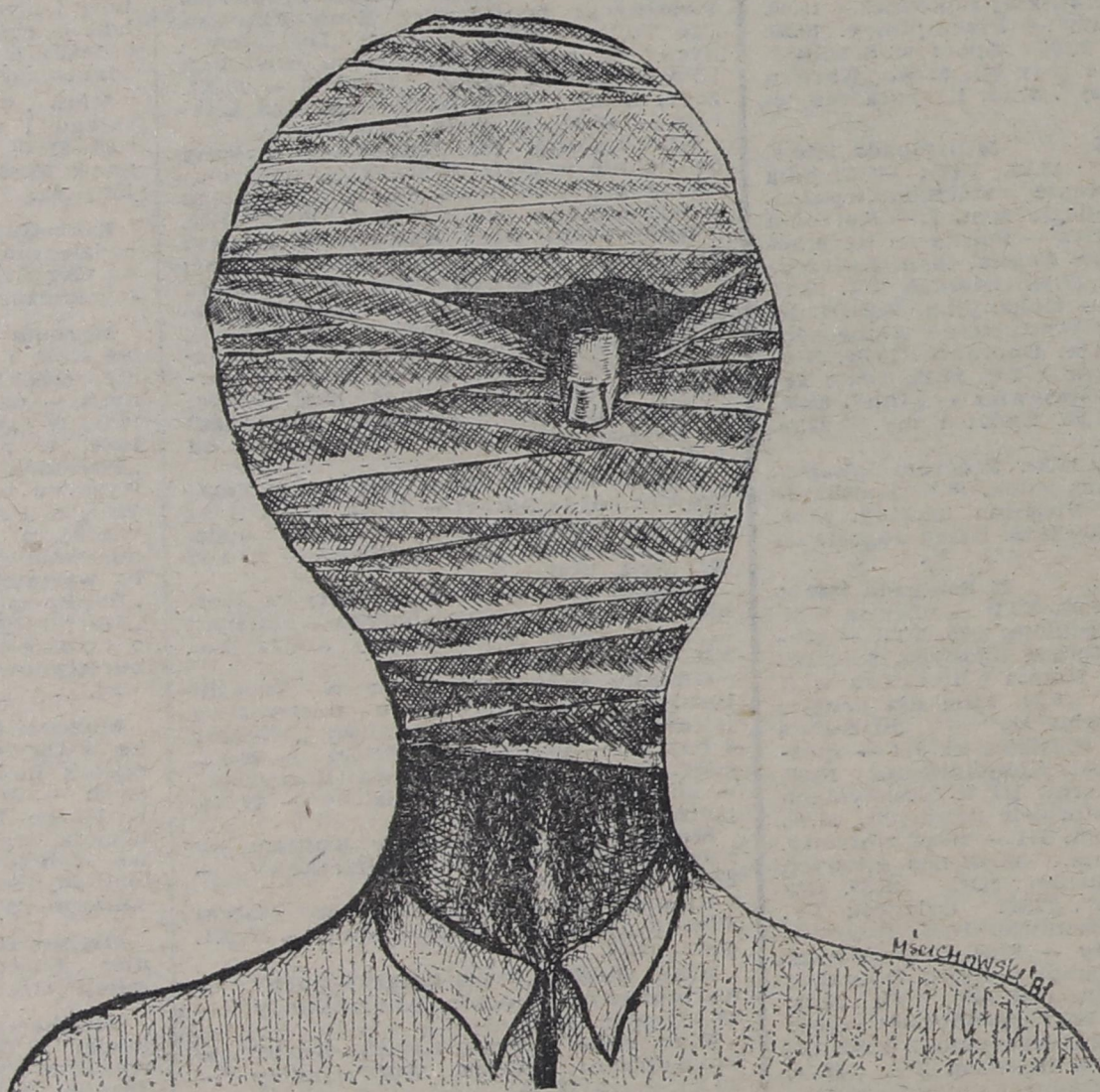
GLUPIEC POLEROWANY jest ułkady, grzeczny i służalczy wobec wszystkich. Bywa w tzw. wyższych sferach, ale nie jest pożyteczny w towarzystwie.

GLUPIEC ZAROZUMIAŁY albo pyszny ma ograniczony i słabutki rozum. Lubi najtrudniejsze zadania, których nie potrafi wykonać. Oczywiście rozbiegane, nozdrza wydęte. Bywa zwykle zaciętrzewiony. Ciągłe wszystkich zapewnia, że „nie w ciemnię bity”. Nie zna śmiechu, lecz uśmiech pogardy. W taktyce uważa się za biegłego od Napoleona, w chemii od Berzeliusza, w historii ojczystej — od Czackiego. Potrafi

Interesująca książka Michała Wiszniewskiego (1794—1865) „Charaktery rozumów ludzkich” stała się podstawą do opracowania małego leksykonu przymiotów i wad rozumów ludzkich. Autor był absolwentem uniwersytetu w Edynburgu. Kierował katedrą literatury powszechnej i polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Napisał wiele prac z historii literatury polskiej, filozofii, estetyki i moralności, m.in. „Podróż do Włoch, Syglij i Malty”, „Metoda Bakona” oraz siedmiotomową „Historię literatury polskiej”, którą sprzedał Konstantemu Macewiczowi z Krakowa w roku 1848 i wyjechał do Włoch, gdzie zmarł na atak serca w Nizy.

Dzieło „Charaktery rozumów ludzkich” ukazało się w Krakowie w 1837 roku; drugie wydanie, przejrane i poprawione, tamże — w roku 1842; trzecie, nakładem Lewentala, w Warszawie w roku 1876, w „Bibliotece Najcenniejszych Utworów Literatury Europejskiej”. Niektóre źródła podają, że Wiszniewski napisał ją w języku angielskim, a opublikował dopiero w dwadzieścia lat później w Londynie (1862) pod pseudonimem Whitecross.

Odkryta w październiku 1982 r. w zbiorach Janina i Zbigniewa Dąbrowskich z Warszawy — po blisko stu latach może znów stanowić vademecum wiedzy o rozumie dla tych, którzy zechcą się pokusić o samodoskonalenie lub przynajmniej tuszowanie najbardziej rażących cech swojej niedoskonałości.



stworzyć kwadraturę koła i dopisać zaginione fragmenty dzieł Liwiusza. Zna się najlepiej na malarstwie i sztukach pięknych. Wszystkich uważa za kretynów o ciasnych głowach i zimnych sercach.

LGARZ lubi opowiadać tzw. nowiny, a najchętniej te, które sam wymyślił lub przeinaczył. Zawsze do zdarzeń i opowieści prawdziwych dodaje własne. Na słuchaczy wyszukuje ludzi łatwowiernych. Gdy na ich twarzach dostrzeże nieufność, zapewnia, że był naocznym świadkiem omawianego zdarzenia. Bywa i tak, że już sam nie wie, co w jego opowieściach prawdziwe. Słucha się go z przyjemnością.

PÓŁGLÓWEK, obdarzony z natury wielką pamięcią, rokował w młodości wielkie nadzieje, ale wiek dojrzały ich nie spełnił. Lubi udawać mądrego i dowcipnego, choć sam niczego nie wymyśli, tylko powtarza cudze słowa. Niezmiennie towarzyszy.

PÓŁGLUPIEC ma dwa rozumy: głupi i dowcipny. Jest w rozmowie roztargniony. Chciałby bawić dowcipem, ale nie potrafi. Czasami, wśród wielu niedorzeczności, potra-

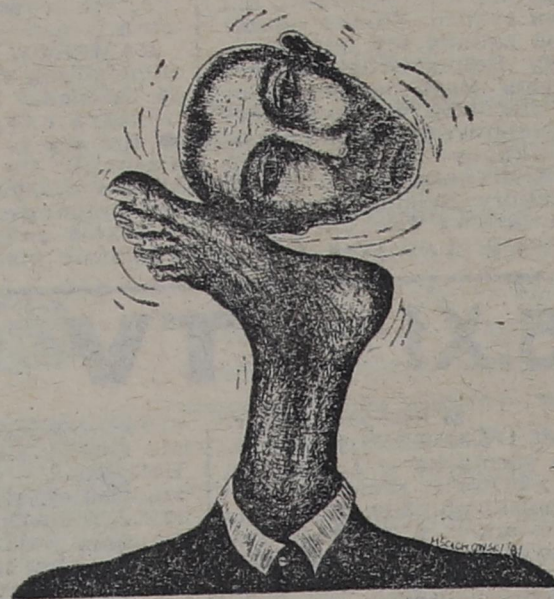
fi opowiedzieć dobry dowcip. Sprawia wrażenie człowieka, który udaje głupiego.

GLUPIEC PRZEMADRZAŁY brzydzi się sławą. Cieszy się, gdy nikt go nie rozumie, bo w tym właśnie dostrzega swoją wyższość. Ogłasza niezrozumiałe prorocтва, obalając przy tym wszelkie teorie znanych uczonych.

CZŁOWIEK PROSTODUSZNY charakteryzuje się potulnością. Z natury jest cichy i skromny, mało pożyteczny społecznie. Głupi nie jest, lecz brakuje mu przebiegłości, przezorności i dowcipu. Wyróżnia się rzetelnością, szczerością i przyjacielskim stosunkiem do otoczenia.

PROSTACZEK jest rozsądny. Bardziej ufa zmysłom niż rozumowi. Nie potrafi być wykretny ani przebiegły. Człowieka prostodusznego przewyższa czystością intencji. Wyobraźnię ma nietęgą, więc i trosk niewiele. O przeszłości nie myśli wcale, o przyszłości — rzadko. Każdą rzecz i zjawisko nazywa po imieniu i głównie dzięki temu zwany jest prostakiem.

CZŁOWIEK CIEMNY nie zawsze bywa głupi. Ciemnota to skutek zaniedbania rozumu. Jest łatwowierny i uparty ze skłonnościami do fanatyzmu.



o rozsądku i ich rodzajach

ROZSADEK jest to dość rzadki przywilej, spuścizną po matce zwany. „Prócz głębokości w rozumowaniu, rozsądek ten się jeszcze różni od rozumu, iż błędy jego zupełnie są innej natury od pomyłek rozumu. Rozsądny człowiek nigdy takich błędów, jak rozumny, nie popełni, bo tak daleko nie sięga.”

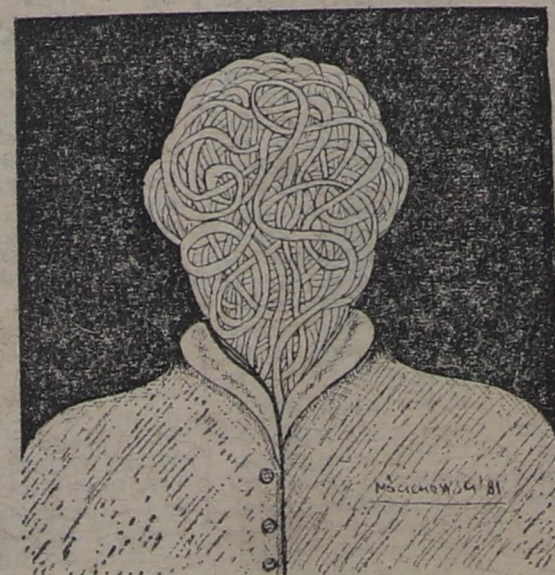
ROZSADEK RUBASZNY śmiało o wszystkich wyrokuje i zadanie swoje narzuca każdemu. „W stylu ich, jeśli kiedy piszą, natrafiamy na podobieństwo z prostego życia wzięte, na obrazy mocne, wyraźnie dobitne, ale grubiańskie. Umysły takie nigdy polotu nie przyjmują [...]”

ROZSADEK GOSPODARSKI rodzi się, rozwija i kształci w wiejskim zaciszu. „Człowiek rozumny wobec gospodarskiego, wiejskiego rozsądku, częstokroć ograniczonym, że nie powiem głupim, wydaje się. Dopiero wywodząc rozsądnego na obszerniejsze pole, gdzie mowa o ogólnym gospodarstwie, o zasadach, odzyskuje tamten pierwszeństwo, lecz w rozsądku gospodarskim żadnej nie wznieca ufności.”

ROZSADEK PRZEMYSŁANY może być opisany tylko na podstawie autobiografii amerykańskiego Sokratesa — Franklina, który żył według następujących cnót: „1) wstrzeźliwość w jedzeniu i pić; 2) milczenie; 3) porządek; 4) męstwo; 5) oszczędność; 6) pilność; 7) szczerość; 8) sprawiedliwość; 9) umiarkowanie; 10) ośzczędostwo; 11) spokojność duszy; 12) umiarkowanie; 13) pokora.”

ROZTROPNOŚĆ I PRZEZORNOSC idą w parze z rozumem i rozsądkiem. „Roztropni i przezorni równie obojętni są na przeszłość, lecz przezorni gorliwiej przyszłością zajmują się [...]. O potrzebie przezorności każda chwila w życiu nas przekona, wszelako piękniej jest postępować ścieżką, na której nie trzeba zbyt troskliwie oglądać się na przestrogi subtelnej przezorności.”

Przygotował W.S.
Rysunki WŁADYSŁAWA
MŚCICHOWSKIEGO



organ samoistny

POKUSY

organ samoistny

POKUSY

organ samoistny

POKUSY